

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 15 września 1946 r.

Nr 37 (94)

NIE BĘDZIEMY NARODEM KOCZOWNIKÓW I EMIGRANTÓW

Wśród Amerykanów częsty jest typ mistyka, ale prawie każdy mistyk amerykański podszyty jest cwaniakiem. Cechy tych obu typów są dość wyraźne w ostatniej mowie Byrnese, ale drugi z nich przeważa.

Charakter mistyczny ma dziś (dziś — może nie jutro lub za szereg lat) apel, iż „narod niemiecki powinien zrozumieć, że Hitler i jego pomocnicy tracili i mordowali niewinnych ludzi... usiłowali opanować i ujarzmić świat przy pomocy broni niemieckiej“. Narod niemiecki nie rozumie słowa „powinni“, rozumie tylko słowo „musi“. Narod niemiecki nie rozumie jeszcze, że jest różnica między nim a „Hitlerem i jego pomocnikami“.

Mistycyzmem trąci jeszcze dziś nadzieja, że narod amerykański ujrzy „Niemcy pokojowe i demokratyczne, wolne i niezależne“, bo jeszcze niewiele wskazuje na to, by narod niemiecki chciał tę nadzieję spełnić.

Ale ten mistycyzm ma zupełnie konkretne cele: wzbudzić w narodzie niemieckim przekonanie, że Amerykanie gotowi są dopomóc Niemcom w zrealizowaniu programu rozwiniętego przez Byrnese. Program ten obejmuje dwa zagadnienia: polityczne i gospodarcze.

Byrnes chce jak najszybciej stworzyć centralne, dla całych Niemiec, departamenty: finansów, rolnictwa, przemysłu i handlu zagranicznego. Pragnie stworzyć „Niemiecką Radę Narodową“ złożoną „z ministrów, prezydentów i innych osobistości z różnych prowincji istniejących w czterech strefach“. Rada ma opracować projekt federalnej konstytucji Niemiec, która byłaby oparta na zasadach demokratycznych, na prawach człowieka i obywatela. Byrnes żąda więc natychmiastowego utworzenia centralnych władz niemieckich dla spraw gospodarczych, szybkiego utworzenia centralnego politycznego rządu Niemiec.

Niemcy mają wprawdzie ponieść „główny“ (nie cały więc) ciężar agresji hitlerowskiej, ale trzeba im dać „standard życia odpowiadający przeciętnemu standardowi europejskiemu“. Dlatego niedopuszczalne jest „przeznaczanie na reparacje części bieżącej produkcji“, dlatego nie można im odmawiać „wzrostu i rozwoju przemysłu“, dlatego narod niemiecki musi mieć prawo „wykorzystania rezerw, które mógł nagromadzić oszczędnością i skromnym życiem“. A więc: poziom życia Niemca nie może być niższy od przeciętnego poziomu europejskiego, czyli może być wyższy od przeciętnego standardu krajów zniszczonych przez Niemcy; Niemcy mają prawo rozbudowywać swój przemysł, mają prawo sprzedawać (a nie oddawać na reparacje) obecną produkcję swego przemysłu, mają prawo zużywać na własne potrzeby (a więc nie na reparacje) swe oszczędności.

Tu, nie w politycznych częściach programu, tkwi istotny sens mowy.

Istotnym jej sensem jest program włączenia całych Niemiec w obręb międzynarodowych obrotów gospodarczych krajów kapitalistycznych, na zasadach gospodarki kapitalistycznej. Nie z miłości dla Niemiec, ale aby zapewnić sobie klienta. Dlatego jednym z pierwszych centralnych urzędów Niemiec, przez Niemców kierowanych, ma być urząd handlu zagranicznego. Chce się własne trudności gospodarcze, wywołane likwidacją gospodarki wojennej i koniunktury wojennej, złagodzić m. i. przy pomocy obrotów gospodarczych z Niemcami. Dlatego Niemcom wolno produkować na zbyt, sprzedawać na eksport, oszczędzać i zużywać własne oszczędności, nie na wyrównanie szkód, które wyrządziły, lecz na cele inwestycyjne, a więc na zakupy w krajach wielokapitalistycznych.

Pod względem politycznym mowa Byrnese potwierdza istnienie bloku anglo-amerykańskiego. Jej skutkiem będzie zacieśnienie sojuszu państw słowiańskich i zbliżenie się do nich Francji. Pod względem gospodarczym słowa Byrnese usiłują podkre-

ślić przeciwieństwo dwóch istniejących systemów gospodarczych świata. W żadnej więc mierze nie przysłuży się ta mowa sprawie pokoju.

Gwałtowna reakcja opinii polskiej na ustępy o granicy polsko-niemieckiej jest słuszna jako objaw czujności, ale byłaby niebezpieczna, gdyby osłabiła w społeczeństwie przekonanie, że ktokolwiek mógłby zmienić nasze granice bez naszej zgody. I Byrnes mówi tylko o czterech strefach okupacyjnych, a więc ziem polskich nie uważa za strefę okupacyjną, zgodnie z deklaracją poczdamską, która nazywa je wyraźnie „byłymi“ ziemiami niemieckimi. I on nie przewiduje, by do przyszłego rządu niemieckiego mieli wejść przedstawiciele byłych ziem niemieckich na wschód od Odry i Nysy, a więc nie włącza ich do państwa niemieckiego. Wyraźnie uznaje zobowiązanie Stanów Zjednoczonych do poparcia żądań polskich co do rewizji granicy polsko-niemieckiej, choć uchyla się od wypowiedzi, jakie żądania poprze — w przeciwstawieniu do granic zachodnich Nie-

miec, gdzie powiada wyraźnie, jakich żądań Francji nie poprze.

Niemniej — mowa Byrnese została zrozumiana w Niemczech jako sugestia pod adresem Polski, by zgodziła się na redukcję swych żądań. Najtrafniejszą odpowiedzią na to są słowa wicepremiera Gomółki: „Nie chcemy być narodem koczowników i emigrantów“. Nie można stawiać narodu w takiej sytuacji, że w roku 1944 i 1945 opuszcza tereny, na których, choć w rozproszeniu, mieszkał od wieków, a po dwóch latach znowu każe się tym samym ludziom opuszczać tereny, na których, po raz pierwszy, znaleźli się bez współgospodarzy. Inaczej mówiąc: nie można próby zrobienia interesu z Niemcami kosztem Polski ubierać w postać mistycznego współczucia dla Niemców, „dla ich cierpień, za które odpowiedzialni są przywódcy niemieccy“. Nie można wobec Niemiec odstąpić od zasady, że każdy naród jest odpowiedzialny za swoich przywódców.

Granica Odry i Nysy jest granicą narodu polskiego

nistami, że w rządach Francją współdziałają trzy różne grupy polityczne, równie sobie obce, lub — jak kto woli — równie sobie bliskie. W praktyce oznacza to, że współpraca z ugrupowaniem mieszczańskim jest tym samym, co współpraca z drugim stronnictwem marksistowskim. Teza na użytek zewnętrzny stwierdzała, że francuska partia socjalistyczna bliższa jest tym krajom, które także odrzucają koncepcję walki klas, a więc społeczeństwu anglosaskim, co z kolei oznacza przychylenie się ku koncepcji „bloków“. A w praktyce — był to nawrót do tezy Bluma z roku 1927 o partii socjalistycznej, która „prowadzi sprawy społeczeństwa burżuazyjnego przede wszystkim w interesie klasy robotniczej“.

Opozycyjna lewica SFIO wysuwała kontrtezę: współpracę dwóch partii marksistowskich z partią lub partiami mieszczańskimi. W praktyce jest to żądanie jednolitego stanowiska obu partii wobec ugrupowań mieszczańskich, odrzucone taktyki „pośrednika“ między komunistami a MRP, a w dalszej konsekwencji zmiana postawy prasy socjalistycznej wobec komunistów (w okresie wyborczym dotychczasowy sekretarz SFIO, Mayer, drukował w „Populaire“ cykl artykułów: „Komuniści nie są partią demokratyczną“), bardziej energiczne przeprowadzanie postulatów socjalistycznych w projekcie konstytucji i w polityce uspołeczniania produkcji i wymiany, unikanie stanowiska antysowieckiego w razie konfliktu ZSRR z Anglosasami.

Odrzucenie znaczną większością głosów sprawozdania sekretariatu generalnego partii było sukcesem lewicy. Przyjęcie kompromisowej rezolucji politycznej, udział prawicy partyjnej w nowym Komitecie Wykonawczym, w którym lewica ma większość, uchroniły partię od rozłamu. SFIO pozostała jednolita, ale jej tendencje polityczne przesunęły się na lewo.

Konsekwencje wewnętrzne tego przesunięcia — to bliższa współpraca SFIO z partią komunistyczną — co może za sobą pociągnąć przesunięcie się MRP bardziej na prawo, szukanie przez to stronnictwo nowych sojuszników na prawicy w miejsce mniej pewnego sojusznika socjalistycznego. Na terenie międzynarodowym oznacza to zmniejszenie niebezpieczeństwa powstania dwóch bloków, a co za tym idzie zwiększenie szans kompromisu między zwycięzcami obecnej wojny, przeniesienie możliwości „trzeciej wojny światowej“ jeszcze bardziej w dziedzinę fantazji. Kongres SFIO oddał prawdziwą przysługę sprawie pokoju.

Konstanty Grzybowski

KONGRES SFIO

Wyniki ostatniego (trzydziestego ósmego) kongresu francuskiej partii socjalistycznej można by ująć w trzy stwierdzenia: kongres przeciwstawił się dalszemu odchodzeniu partii od marksizmu, dalszym próbom odsuwania się od partii komunistycznej — i takiej polityce zewnętrznej partii, która na terenie międzynarodowym mogłaby służyć polityce bloku zachodniego.

Francuska partia socjalistyczna (Section française de l'Internationale ouvrière) nie jest taką partią socjalistyczną, jaką znaliśmy i znamy w środkowej Europie, partią wyraźnie marksistowską, jednolitą, zdyscyplinowaną. Do dziś dnia odbijają się w niej wszystkie tradycje socjalizmu francuskiego: tradycja proudhonowska, określana często jako „drobnomieszczańsko-socjalistyczna“, a którą określiłbym raczej jako typową dla socjalizmu kraju o silnych wpływach chłopskich; blancowska tradycja socjalizmu daleko posuniętego kompromisu z ustrojem burżuazyjnym; blanquistowska tradycja socjalizmu rewolucyjno-syndykalistycznego.

Francuska partia socjalistyczna powstała później niż inne (w roku 1905) z fuzji wielu dotąd zupełnie odrębnych grup, które przyjęły wprawdzie marksizm jako wspólną doktrynę, ale zachowały swe tradycje. Stąd większa, niż w socjalizmie innych krajów, skłonność do powstawania różnych grup i odcieni wewnątrz partii, stąd większa niż gdzie indziej skłonność do powstawania różnic ideologicznych, odbijających się na taktyce partii. Socjalizm angielski, w typowy dla men-

talności angielskiej sposób, ogranicza organizacyjnie swe doktrynalne podstawy do minimum, w podobnej sytuacji zachowując charakter federacji kilku grup. Socjalizm francuski, zgodnie z typową dla mentalności francuskiej skłonnością do precyzji doktrynalnej i centralizacji organizacyjnej, przechodzi wskutek tej genezy częste kryzysy wewnętrzne i częste rozłamy.

Kryzys wewnętrzny zaznaczył się po raz pierwszy bardzo ostro zaraz po pierwszej wojnie światowej. Rok 1920 — to kongres w Tours, na którym większość decyduje się na połączenie z III Międzynarodówką (komunistyczną), mniejszość zaś pozostaje przy II Międzynarodówce. Rozłam w socjalizmie francuskim trwa odąd długi okres czasu w formie bardzo ostrej. Lata 1936—1938 przynoszą pewne zbliżenie w imię walki z faszyzmem, najpierw zbliżenie między obu partiami marksistowskimi, potem obu tych partij z grupami radykalno-mieszczańskimi. Ale okres pierwszych lat drugiej wojny światowej znów pogłębia ten kryzys. Wielu deputowanych socjalistycznych głosuje za pozbawieniem mandatów posłów komunistycznych, na 136 deputowanych, socjalistycznych 110 głosuje za oddaniem władzy Pétainowi. Dopiero w Ruchu Oporu socjaliści zbliżają się ponownie do komunistów.

Okres powojenny stawia socjalizm francuski przed nowym kryzysem wewnętrznym. Kierująca dotąd partią grupa, której czołowym ideologiem i przywódcą jest Leon Blum, idzie niezmiernie daleko w kierunku rewizjonizmu ideologicznego, współ-

pracy z grupami mieszczańskimi i związania polityki francuskiej z polityką angielską. Swoje stanowisko ideologiczne i taktyczne przedstawił Blum już w r. 1927: „Skoro socjalizm przeniósł swą akcję klasową na teren parlamentarny, układ sił politycznych może zmusić go do objęcia władzy, w ramach istniejących instytucji, a więc w ramach ustroju kapitalistycznego, którego wyrazem politycznym są te instytucje... Jego zadaniem jest tedy prowadzić sprawy społeczeństwa burżuazyjnego przede wszystkim w interesie klasy robotniczej, przyspieszać, o ile to jest możliwe, rytm przekształcania społeczeństwa obecnego w społeczeństwo przyszłe“ („Populaire“, 16 marca 1927). Doktrynalnie biorąc jest to więc zastąpienie pojęcia „walki klas“ przez pojęcie „działalności klasowej“. Gdy w roku 1945 rewidowano statut SFIO, pod wpływem Bluma usunięto zeń też określenie „lutte de classe“, którego miejsce zastąpiła bezbarwna „action de classe“. Tuż przed tegorocznym kongresem partii Blum dał w „Revue Socialiste“ subtelną analizę pojęcia „walki klas“, przedstawiając jego różne znaczenia. Takie rozróżnianie jest zawsze neutralizowaniem pojęcia jako narzędzia walki politycznej. Blum położył głównie nacisk na tezę, że pojęcie „walki klas“ to „retrospektywne objaśniania historii“.

Takie doktrynalne stanowisko miało konkretne następstwa polityczne. Zrodziły się dwie tezy. Teza na użytek wewnętrzny, iż współpracę z MRP należy stawiać na jednej platformie ze współpracą z komu-

STANISŁAW MACKIEWICZ [CAT]

Powstanie rządu na emigracji^{*}

Oderwijmy się trochę od teorematów polityki zagranicznej. Rzućmy okiem, jak się kształtowała w kilka godzin po przegranej wojnie nasza emigracyjna... polityka wewnętrzna. Wspomnijmy scenę z „Wesela” Wyspiańskiego, w której pojawia się duch Stańczyka, siada na drewnianym, jesionowym fotelu i mówi:

Domek mały, chata skąpa,
Polska, swoi, własne izy;
własne brudy, podłość, kłam;
znam, zanadto dobrze znam.

Dnia 17 września 1939 r. Rydz ucieka przez granicę rumuńską, chociaż mógłby aeroplanem wrócić do broniącej się jeszcze długo Warszawy, chociaż w Polsce jeszcze przez kilka tygodni będą się biły nasze wojska...

Dnia 18 września, czyli w dzień później, prof. Stanisław Stroński puka do willi Ignacego Paderewskiego w Morges, w Szwajcarii.

Ci dwaj panowie nie widzieli się od wielu lat. W pierwszych latach niepodległości Stroński redagował dziennik „Rzeczpospolitą” wydawany za dolary Paderewskiego, zarobione przez niego na koncertach w Ameryce. W „Rzeczpospolitej” prof. Stroński dwa razy dziennie atakował wyprawę kijowską i marsz Piłsudskiego, o czym opowiadał w swej „Historii”. Ale w 1924 r. Paderewskiemu nudziły się wydatki na pismo i oto bez porozumienia z prof. Strońskim sprzedaje „Rzeczpospolitą” Wojciechowi Korfantomu, znanemu działaczowi politycznemu i finansowemu ze Śląska, który po przyjeździe do Warszawy, również bez porozumienia ze Strońskim, oświadcza gruboskórnie, że „redakcja pisma pozostanie ta sama”. Jednym słowem Paderewski sprzedał Strońskiego Korfantomu, jak niegdyś chan krymski darował Akbah-Ułana Janowi Kazimierzowi. Tego rodzaju gest króla fortepianu słusznie oburzył znakomitego publicystę, który zerwał z Paderewskim i z Korfantomem, a za pieniądze ziemian wschodnio-galicyskich, zwłaszcza księcia Witolda Czartoryskiego, założył pismo „Warszawiankę” i nadal prowadził walkę z Piłsudskim.

Teraz Stroński puka do willi w Morges, chcąc, aby Ignacy Paderewski został prezydentem Rzeczypospolitej, zważywszy na jego wielką popularność wśród narodu polskiego, a także na głośny dźwięk jego imienia na obu półkulach.

Istotnie nazwisko to znane jest za granicą powszechnie. Kiedyś marszałkowi Piłsudskiemu podróżującemu po Włoszech, wpisała swe nazwisko do książki hotelowej w jakimś małym miasteczku.

— Ach, to mąż pani, zdaje się, gra na fortepianie — powiedziała właścicielka hoteliku.

Nie negując głośności nazwiska Paderewskiego ani też zacności jego sposobu myślenia, nie widziałem w nim jednak nigdy ani danych na męża stanu, ani też walorów moralnych, które by można było przeciwstawić temu, komu przeciwstawić go chciano, tj. marsz. Piłsudskiemu. Przez wiele lat Piłsudski był wodzem partii walczącej w podziemiach Polski o jej niepodległość. W tych czasach Paderewski był mistrzem koncertów. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak w ogóle można było zestawiać tych dwóch ludzi.

Ale Stroński myśli inaczej. Konstatację z przyjemnością, że Paderewski nie jest jeszcze całkiem zgrzybiały, jak o tym mówiono, bo oto Paderewski sam, bez niczyjej pomocy, schodzi z pierwszego piętra swej willi do saloniku, a więc rusza jeszcze nie tylko ręką, ale i nogą.

Z Morges Stroński przyjeżdża do Paryża i zatrzymuje się w małym „hoteliku dla studentów”, jak później pisano, na ulicy Jacob. Hoteliczek nazywa się „Hôtel du Danube” i mieści się niedaleko ulicy Bonapartych, zbiegającej od opactwa św. Germana na Błoniach. Nie jest to jeszcze dzielnica łacińska, ale już uliczki są wąskie i zapach antykwarni unosi się nad jezdnią. Stroński zatrzymuje się tu, bo w tym hotelu mieszka zawsze gen. Sikorski w czasie swych pobytów w Paryżu, a Stroński chce się z nim jak najprędzej porozumieć. Jakoż niebawem, bo

24 września, przyjeżdża do Paryża ambasador francuski w Warszawie, inteligentny i rzutki p. Noël, zresztą przyjaciel polityczny p. Laval, przywożąc z sobą gen. Sikorskiego.

W tym samym czasie przyjeżdża także do Paryża generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ambasador Rzeczypospolitej w Rzymie, wraz z aktem mianującym go następcą prezydenta. Prezydent Mościcki mianował swoim następcą Władysława Raczkiewicza, który 13 września wyjechał z kraju, ponieważ jednak nie było wiadomości wśród okoliczności wojennych, czy zdoła objąć swój urząd, prezydent Mościcki podpisał także akt mianujący swym następcą Wieniawę-Długoszowskiego. Według art. 13 konstytucji akt mianowania następcy prezydenta zyskuje ważność prawną dopiero z chwilą ogłoszenia. Akt nominacyjny, podpisany lecz nie ogłoszony, może mieć znaczenie jedynie zamiaru nominacji, lecz nie samej nominacji. Generał Długoszowski nie chce przyjąć nominacji, nie uważając siebie za kandydaturę odpowiednią, lecz oto w drukarni p. Bystrzanowskiego na ulicy Faubourg Poissonnière drukuje się już „Monitor Polski” nr 1 z aktem mianującym Wieniawę Długoszowskiego następcą prezydenta. Policja francuska otacza drukarnię i konfiskuje ten „Monitor”. Jednocześnie hr. Roger Raczyński, nasz ambasador w Rumunii, otrzymuje od swego francuskiego kolegi tekst depeszy: „rząd francuski nie będzie mógł uznać żadnego rządu polskiego, który by był mianowany przez generała Wieniawę...”

W tym czasie spotykają się ze sobą w Paryżu panowie Sikorski, Stroński, August Zaleski, były minister spraw zagranicznych, Adam Koc, były szef Ozonu, Herman Lieberman, wybitny socjalista, Adam Prągor, również socjalista. Przyłączają się do nich później p. Ładoś.

Masoneria! Istotnie wśród tych nazwisk nie brak ludzi posadzanych o przynależność do tego związku, o którym wiemy, że istnieje, ale nie wiemy o co mu chodzi, do czego właściwie dąży i dlaczego ukrywa wiadomości o sobie i swoich członkach. Nie widzieliśmy też nigdy, dlaczego ludzie, uchodzący za masonów, kłócą się między sobą na arenie publicystycznej, tłumaczyliśmy także, że masonom nie wolno się przyznawać do swojej organizacji, a natomiast wolno im się jej wypierać we wszelki sposób. Te zasady organizacyjne stawiają w trudnej sytuacji ludzi nie należących naprawdę do masonerii a o oskarżanych. Wśród nazwisk wyżej wymienionych spotykamy ludzi, którym zarzucano przynależność bądź do „Wielkiego Wschodu”, bądź do „Rytu Szkockiego”. Nie wymieniamy tych nazwisk, bo to do niczego, prócz do ewentualnych sprostowań, nie prowadzi, skonstruujemy jednak, że nad kołyską nowego polskiego porządku rzeczy i rządu, który miał powstać, cień swój chyliła masoneria, jak wróżka szepcząca nad niemowlęciem swe zaklęcia.

Czy konfiskata „Monitora” z powołaniem Wieniawy na następcę prezydenta, zarządzona przez policję francuską, była także dziełem masonów polskich?

Oni sami gotowi są mniemać, że tak. Mogą to być jednak przechwałki. Obserwując polskich masonów za granicą, dochodzi się do przekonania, że ich wpływ na masonów zagranicznych równa się zeru. Nasi masonowie nie mają widać wysokich stopni, czy też, bo ja wiem co się dzieje, ale bodajże wikary z Olkianka ma większy wpływ na kardynała stanu w Rzymie, niż hiper-mason z Polski na ośrodki masonskie za granicą. Sądzę, że protest francuski przeciw Wieniawie wywołany był przez fakt, że Wieniawa był ambasadorem w Rzymie i miał dobre stosunki z hr. Ciano. Włochy miały wtedy jeszcze dużo do powiedzenia we Francji, rząd obawiał się całej kotlerii prowłoskiej, głową której była Laval, w Anglii panowała polityka zdecydowanie antywłoska. Usadawianie sojusznika w Paryżu, który by trzymał w ręku nici kontaktów włoskich, nie mogło odpowiadać ani rządowi francuskiemu ze względów

zewnętrznych, a jeszcze bardziej wewnętrznych, ani też Anglii ze względów zewnętrznych. Zdaje się, że w incydencie z Wieniawą, jak w wielu innych incydentach dotyczących Polski, tylko Polakom się zdawało, że to oni działali, podczas gdy działali cudzoziemcy i względy zupełnie inne od tych, o których myśleliśmy.

W międzyczasie zjeżdża do Paryża p. Władysław Raczkiewicz, legalny następcą prezydenta, i przychodzi wiadomość o rezygnacji prezydenta Mościckiego. Stroński chciałby nadal, aby teraz Raczkiewicz przekazał władzę Paderewskiemu, ale Sikorski nie popiera tej kombinacji. Nowy prezydent desygnuje na premiera Zaleskiego, wychodząc ze słusznego założenia, że cieszy się on wyjątkowym szacunkiem wśród dyplomatów zachodniej Europy, ale Hôtel du Danube nie chce się zgodzić na tę nominację. Wtedy prezydent poręcza misję utworzenia gabinetu Strońskiemu. Ten zwraca się do Sikorskiego, który mu uprzednio mówił, że nie chce być premierem, ale Sikorski teraz zmienił zdanie i Stroński odstępował mu swą misję. Czyny to zresztą z przekonania, gdyż od początku sobie życzył, aby Paderewski był prezydentem, a Sikorski premierem. Stroński zresztą był zawsze człowiekiem koncepcji politycznej, nigdy kariery osobistej.

Teraz z przykrością muszę przystąpić do przebrzmiałej i nie mającej już dziś żadnego politycznego znaczenia sprawy zmiany konstytucji przez oświadczenie prezydenta. Prezydent Raczkiewicz 30 listopada 1939 wygłosił przez radio do kraju następujące oświadczenie:

„W ramach konstytucji kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać jedynie w ścisłym porozumieniu z prezesem Rady Ministrów. Postanowienie to nie tylko zamierzam wykonywać osobiście, lecz tę moją wolę przekazałem również gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, wyznaczonemu przeze mnie na następcę prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w razie opróżnienia się urzędu prezydenta przed zawarciem pokoju”.

Dnia 30 września powstaje więc mianowany przez prezydenta Raczkiewicza nowy rząd polski we Francji. Skład jego wraz z uzupełnieniami, które miały miejsce rychło po tym dniu, przedstawiał się następująco. Premier i minister spraw wojсковych gen. Władysław Sikorski. Wicepremier i minister informacji i dokumentacji (propagandy) Stanisław Stroński. Minister w tymże ministerstwie Marian Seyda, członek stronnictwa narodowego, ale w Polsce usunięty z władzy tego stronnictwa na tle nieporozumień politycznych. Minister spraw zagranicznych August Zaleski, minister nasz tego resortu za czasów rządów marsz. Piłsudskiego od 1926 do 1932. Podsekretarzem stanu w tym ministerstwie został p. Zygmunt Graliński, radykalny ludowiec, członek jednego z najdroższych i najbardziej sno-bistycznych klubów w Warszawie. Ministrem skarbu został p. Koc, był szef Ozonu; podsekretarzem stanu u niego p. Alfred Falter, milioner śląski, wybitnie inteligentna indywidualność, Żyd z pochodzenia. Ministrem pracy stał się p. Jan Stańczyk, działacz związków zawodowych..., podsekretariat stanu otrzymał tu p. Karol Popiel, sikorszczyk stary, obecnie występujący w szrankach partii pracy, oskarżany kiedyś o jakieś nieczystości finansowe. Ministrami bez teki zostali gen. Józef Haller i Aleksander Ładoś: pobożny katolik i notoryczny mason. W ogóle był to najbardziej masonski rząd, jaki kiedykolwiek miała Polska.

Rząd ten nie był koalicją stronnictw i w ogóle powstawał w sposób uzależniony od okoliczności wojennych. Członkowie rządu byli członkami takich czy innych stronnictw politycznych, ale ich nie reprezentowali. „Co to jest emigracja — dowcipkował p. Stroński — pierwszy trzej to ministrowie, reszta to petenci”. Seyda przyjmując tekę nie komunikował się ze stronnictwem narodowym, Stańczyk — z socjalistami, czy Haller z dewotkami, ani też

Popiel ze stronnictwem pracy. Zresztą o tym ostatnim stronnictwie powiadał prezes Bielecki: „Wszystkie inne stronnictwa mają tu swoich przedstawicieli, jedynie stronnictwo pracy przyjechało in corpore”. Istotnie, o ile stronnictwo pracy nieliczne było w kraju, o tyle licznie i hałaśliwie reprezentowane było na emigracji. Była to właśnie partia Sikorskiego, ale reklamowała się za granicą, jako partia Paderewskiego; mało kto wiedział, że to właśnie generał Haller był jej nominalnym prezesem.

Pierwsze miesiące rządu na emigracji wypełnione były walką wewnętrzną pomiędzy Strońskim a Kotem i dlatego chciałbym się tu zająć osobą prof. Strońskiego. Ma on dwa oblicza, jedno zwrócone w stronę polityki zagranicznej, drugie w stronę polityki wewnętrznej. Pierwsze jest obliczem fanatyka, drugie — liberała, dobrego człowieka, sceptyka i dżentelmena. Był on w kraju wrogiem marszałka, najzawziętym, największym; pozostał tym wrogiem po śmierci Piłsudskiego, pozostał nim na emigracji, a jednak w oczach niektórych zaczął na emigracji uchodzić za obrońcę piłsudczyków. Aby zrozumieć, jak się to stało, trzeba wciąż pamiętać o dwóch obliczach Strońskiego, zwróconych do polityki zagranicznej i do polityki wewnętrznej.

Nazwałem Strońskiego polskim Pertinaxem. Istotnie, trudno by znaleźć drugą taką parę: Francuza i Polaka, tak zgodnych ze sobą w ocenach zjawisk politycznych: Pertinax (pseudonim), długoletni publicysta „L'Echo de Paris”, pisma prawicowego, katolickiego, był zawziętym stronnikiem oszczenia Niemiec, stąd zwolennikiem sojuszu Francji z Anglią i Rosją, a od biedy, z braku właściwej antyniemieckiej Rosji, sojuszu z Małą Ententą i Polską. Pertinax powiada o sobie dumnie: „otwierałem kredyt wszystkim rządowi Francji, którym wyjaśniałem i komentowałem politykę zagraniczną”, a jednak zwalczał tych ministrów francuskich, którzy szukali porozumienia z Niemcami, jak Briand.

Nie wierzył też w nowe instrumenty polityki zagranicznej, jak w Ligę Narodów, prof. Stroński był jego warszawskim echem, co zresztą nie znaczy, aby był jego plagiatorem czy naśladowcą. Prof. Stroński nie znosił Niemców, nawet więcej niż kochał Polskę; kochał Francję i uważał, że Polska nie powinna wyskakiwać z drogi wiernego satelity francuskiego. Nie lubił tych ministrów francuskich, których nie lubił także Pertinax, ale z chęcią za ich politykę czynił odpowiedzialnymi ministrów polskich, tak na przykład czynił Skrzyńskiego odpowiedzialnym za Locarno, chociaż było to tak samo logiczne, jak czynić na przykład dziś Arciszewskiego winnym za to, że Anglii złamali nam układ 25 sierpnia.

Piłsudskiego Stroński nienawidził fanatycznie właśnie ze względu na swój fanatyzm w polityce zagranicznej. Podejrzewał go, że nie chce być wierny Francji i że gotów jest uczestniczyć w pochodzie przeciw Rosji, wbrew planom francuskim.

Pertinax, długoletni uczestnik pisma katolickiego — w czasie obecnej wojny współpracował z masonerią, to także go zbliżyło do losu Strońskiego, jak zresztą wiele innych faktów i okoliczności. Obaj byli ludźmi podobnego talentu publicystycznego, jakkolwiek manierę pisarską mają inną. Pertinax unika w swych artykułach „od wiersza” i zlewa swą argumentację w jedno lustro, podczas gdy Stroński kraje swe artykuły na krótkie paragrafy, przeplatane zwykłe cytatami. Obydwaj: Pertinax i Stroński mieli dużo wiadomości (Pertinax, jako mieszkający w Paryżu, ze źródeł bezpośrednich, Stroński z gazet i swej fenomenalnej pamięci) i obaj nie rozumieli zupełnie rytmu historii i nurtu, którym biegła wypadki. Poza niebezpieczeństwem niemieckim nie mieli żadnej innej wizji na temat, co się ze światem stanie, nie tylko za lat dziesięć, lecz choćby za rok. Obydwaj, przy całej swej znakomitej dokumentacji, mylili się fatalnie w swych przewidywaniach.

Ale oczywiście moralnie Stroński

stał nieskończenie wyżej od Pertinaxa, który był człowiekiem i politykiem egoistycznym, zawziętym, suchym, jakim bywa zazwyczaj Francuz, gdy mówi o interesach. Stroński miał polską miękkość; jego fanatyzm ocierał się skrzydłami nie o okrucieństwo, czy mściwość, jak to często z fanatykami bywa, ale o marzycielstwo. Zresztą jego szkoła myślenia była dość bliska romantycznej szkole politycznej w Polsce. Mieliśmy tylko dwóch nieromantyków w polityce, którzy przerwali przeszło stuletni romantyzm orientacji naszego kraju, tj. Dmowski i Piłsudski. Jeden, gdy wybuchła wojna 1914 r., powiedział: „trudno, trzeba iść z Rosją”, drugi: „trudno, trzeba iść z Niemcami”. Stroński był większym romantykiem. Jego marzeniem była wojna z Niemcami u boku Francji, bez sojuszu z Rosją. Cała Polska widziała w Strońskim chorążego endecji. Ale endecja nigdy nie lubiła ludzi zbyt inteligentnych, Stroński był tam zawsze outsiderem, którego używano do wystąpienia zewnątrz partii, jak przemówienia w sejmie, wystąpienia publicystyczne.

Jeśli chodzi o politykę wewnętrzną, to, jak powiedzieliśmy, Stroński przestawał być fanatykiem, a stawał się sceptykiem, liberałem, a przede wszystkim uczciwym człowiekiem. Odsuwany przez endeków, nieubliwany przez Dmowskiego, Stroński zbliżył się do konserwatystów, a raczej do ziemian. Przez pewien czas był nawet monarchistą, ale ani monarchizm, ani konserwatyzm nie tkwił w nim głębiej, jak w wielu redaktorach gazet wydawanych przez konserwatystów, sprzed — powiem dumnie — epoki „Słowa”.

Zachowanie się Strońskiego w Paryżu, na początku emigracji, wynikało z tego podwójnego jego charakteru, fanatycznego w polityce zagranicznej i liberalnego w polityce wewnętrznej. W polityce zagranicznej ma p. Stroński teraz stan rzeczy, o którym przez całe życie marzył: wojujemy z Niemcami przy opiekuńczym boku Francji, kwestia prorosyjskości nie bruzdzi, bo Rosja jest po tamtej stronie. Wszyscy Polacy w polityce zagranicznej muszą już być solidarni, nie ma już orientacji, jest tylko walka z przekłętymi szwabami! Wobec tego stanu rzeczy, Stroński nie widzi powodu, dlaczego miałyby kogoś z Polaków prześladować czy zwalczać, co najwyżej można poartować z byłego sanatora na temat zmienności fortuny politycznej, ale jeśli człowiek jest coś wart, to dawaj go tutaj! Niech pracuje, przecież już teraz nikt się walce z Niemcami przeciwstawiać nie będzie. I oto Stroński, który w kraju był sztandarem, symbolem walki z Piłsudskim i z piłsudczykami, teraz staje się głosicielem solidarności narodowej, zapomnienia uraz i krzywd. Za jego wicepremierostwa do gabinetu wchodził wybitny współpracownicy marszałka: Sosnkowski (o czym będziemy mówić jeszcze później) i Zaleski, wchodzi także Koc, Strasburger i inni; w biurach jego ministerstwa propagandy pełno małych i dużych senatorów.

Ten nastrój Strońskiego podzielanym jest — co tu gadać — w pierwszych tygodniach urzędowania rządu w Paryżu przez generała Sikorskiego. Do charakterystyki tej postaci będziemy często powracali w tej książce, tutaj spróbujemy coś o niej powiedzieć za pomocą metody opartej na tym, że każdy człowiek ma swój „szczyt marzeń”. Być może, że szczytem marzeń Hitlera, było patrzeć oczami w przyszłość, w której widział on tysiące komór gazowych duszących miliony bezbronnych Żydów; Mussoliniego — wyłączać prawicę z podziemia i do milionów orłów italskich, tak jak kto inny marzy o kolacji z szampanem we dwójce z piękną kobietą. Otóż, przekonany jestem, że marzeniem Sikorskiego nie była ani dyktatura, ani zwycięskie pole bitwy w oparach krwi, dymu i blaskach zachodzącego słońca, ani inny obraz tego typu, a po prostu wielki parlament, on, jako premier, i szmer przyjazny wszystkich stronnictw i mniejszości narodowych: Sikorski, Sikorski, Sikorski! Generał Sikorski chciał być po-

* Por. „Sojusz z Anglią był sojuszem egoistycznym” w 93 numerze „Odrodzenia”.

wszechnie uznawany, kochany, popularny.

II

Nie powinno się mówić: Wieniawa-Długosowski: — dawne nazwiska szlacheckie polskie składały się z przydomka, nazwiska właściwego i herbu. Tylko przydomki mogą być związane z nazwiskiem łącznikiem, ale nie herby, a Wieniawa, to herb. Dopiero za czasów austriackich, w Galicji, zaczęto przefasonowywać nazwiska w sposób, który wydawał się nowoczesny. Toteż nie Wieniawa-Długosowski ani Nałęcz-Korzeniowski,



Bolesław Wieniawa-Długosowski

lecz Długosowski herbu Wieniawa, Korzeniowski herbu Nałęcz itd.

W Polsce lat ostatnich mówiono zawsze: Wieniawa i każdy wiedział o kogo chodzi. Nominacja Wieniawy na prezydenta budziła zdumienie w Polsce, ponieważ ciągle opowiadał o jego pijaństwie i o burdach w restauracjach, które urządzał. Liczne koła kółtunerii, te same, dla których butelka z alkoholem była głównym uświetnieniem życia, widziały wobec tego w Wieniawie uosobienie siedmiu grzechów głównych. Polska nie jest krajem abstynentów, chociaż więcej się u nas upija aniżeli pije, konsumpcja alkoholu na głowę ludności była u nas śmiesznie mała w porównaniu z Anglią. Ale nasze narodowe pijaństwo z pierwszej połowy XVIII wieku tak zaimponowało światu, że we Francji mówi się dotychczas: „Pijany jak Polak”. Pijaństwo i pijaka można zresztą przedstawić sympatycznie, lub antypatycznie; zarówno w Poznaniu jak w Londynie widziałem na ulicy stosunek do pijaka, jak do krowy w Indiach, pelen szacunku i adoracji. Pijaństwo Wieniawy zostało swego czasu podchwyczone, popięcone i rozgłoszone przez agitację przeciwko marszałkowi Piłsudskiemu, którego Wieniawa był adiutantem za czasów legionów i jednym z najbliższych mu ludzi. „Ma Sławka, ma Wieniawę” — śpiewano w kabaracie jeszcze za przedmajowych czasów.

Wieniawa nie dbał o opinię o sobie, ale był to jeden z najbardziej kulturalnych i czarujących ludzi w Polsce. „Wolę gadać z pijanym Wieniawą, niż z trzeźwym...” Nie! Nie powtórzmy do końca tego zdania, które wygłosił kiedyś, w przystępie szczerości, profesor Stróński. Wieniawa był artystą lubiąącym wchodzić w tłum, gdy tłum robił piękne rzeczy, lubił w Paryżu wejść wśród ludzi śpiewających wesołą, a melodyjną piosenkę; lubił w Polsce wziąć udział w szarzy kawalerii, Wieniawa był jednym z najmilszych anachronizmów w XX wieku. Coś z beztroskiego ułana, cygana, szlachcica. Mieszkał długo w Paryżu, o ileż więcej w nim, niż wśród naszych frankofili politycznych, ujawniało się pokrewieństwo nasze z kulturą łacińską: lekkość, dowcip, zapał, szlachetny gest, indywidualizm.

W 1940 r., po wypowiedzeniu przez Włochy wojny Francji, Wieniawa wyjechał z Rzymu z całym składem ambasady, jakkolwiek Ciano mu przekładał, że Włochy wypowiedzą wojnę Francji nie Polsce i że może zostać w Rzymie, chociażby jako człowiek prywatny. Pojechał do Ameryki. W 1942 zostaje mianowany naszym ministrem na Kubie. Z początku Wieniawa przyjął tę nominację, ale później wzięło go obrzydzenie, że on, były adiutant marszałka, przyjął nominację z rąk Sikorskiego, o którego roli w sprawie rosyjskiej już był poinformowany, i oto Wieniawa w maju 1942 popełnia sa-

mobójstwo, wyskakując przez okno na bruk. Wstąpił na drogę Sławka; nie przeżył upokorzenia Polski.

Uczcijmy jego pamięć garścią najbardziej znanych o nim anegdot:

Kiedyś prof. Górka, nieznośny gadała i nudziarz, w celach autokreklamowych napadł na Sienkiewicza. Wieniawa udzielił na łamach „Polski Zbrojnej” wywiadu broniącego wielkiego pisarza. Wywiad był utrzymany w formie dysputy współpracownika tego pisma z Wieniawą, którego ostatnie słowa brzmiały:

— Zresztą ma pan nade mną wyższość, że pan te artykuły Górki czytał, a ja nie.

Konferansjer Jarossy opowiadał z estradki kabaretowej, jak to Wieniawa, wówczas dowódca szwoleżerów, wznosił toast na cześć teatryzmu „Qui pro Quo” i powiedział: „Jesteście szwoleżerami polskiego teatru”, a oni mu odpowiedzieli: „A pan, panie pułkowniku, jesteście Qui pro Quo armii polskiej”.

Wieniawa był oczywiście zachwycony.

W kawiarni Europejskiej po 13 września 1935, gdy Polska pozbyła się opieki Ligi Narodów nad mniejszościami, Wieniawa kazał grać orkiestrze „a kto będzie twierdził, że się u nas źle mniejszościom dzieje, że niech popatrzy”, — zawołał wskazując na liczną publiczność o mniejszościowym wyglądzie, spożywającą najdroższą w stolicy kawę, ciastka i wermuty.

Wieniawa wyjeżdża jako ambasador do Rzymu. Na dworzec przycno-dzi go odprowadzić mnóstwo ludzi, między innymi znany aktor Adolf Dymsha. Było to już po Anschlussie i po słynnej depeście Adolfa Hitlera do Rzymu: „Mussolini, nigdy ci tego nie zapomnę”.

Gdy pociąg ruszył, Wieniawa żegna się ze wszystkimi, a do Dymszy woła:

— Adolfe, nigdy ci tego nie zapomnę.

Dowcip Wieniawy szarżował nawet na powagę dyplomatyczną.

Opowiadano w Warszawie, że trzech znanych warszawiaków komunikuje sobie dane o własnej popularności. Wieniawa, ostatni z kolei, bije rekord, oświadczając:

— Wczoraj szedłem z Komendantem Alejami na spacer, a dziś słyszałem jak w tramwaju jedna baba pyta drugą: co to za starszy pan, wojskowy, który wczoraj szedł z Wieniawą Alejami?

W londyńskich „Wiadomościach Polskich” w 1942 ukazał się wiersz samego Wieniawy, który tu przytoczymy, na pożegnanie:

Przyełem moją wiosnę szumnie i bogato
Dla własnej przyjemności, a durniom
na złość
W skwarze pocalunków ubiegło mi lato,
I, szczerze powiedziawszy, mam
wszystkiego dość...

Ustrojona w purpurę, bogata od złota,
Nie uwiedzie mnie jesień czarzem
zwydłych kras
Jak pod szminką i pudrem starsza już
kokoła,
Na którą młodym chłopcem nabrałem
się raz.

A przeto jestem gotów kiedy chłodną nocą
Zapuka do mych okien zwiędły kłonu liść,
Nie zapytam go o nic, dlaczego i po co.
Lecz zrozumieć, że mówi „No czas
bracie iść”.

Nie żałuję niczego, odejdę spokojnie,
Bom z drogi mych przeznaczeń nie
schodząc na cał,
Zył z wojną jak z kochanką, z kochankami
w wojnie,
A przeto i miłości nie będzie mi żal...

Bo miłość jest jak karezmna w niedo-
stępnym borze,
Do której dawno nie zachodził nikt,
Gdzie wędrowiec wygodne zwykle
znajdzie łożo,
Ale — własny ze sobą musi przynieść wikt.

A śmierci się nie boję — bo mi śmierć
nie dziwna;
Nie stałem na nią Bogu żadnych
śmiesznych skarg,
Więc kiedy z śmieszną kosą stanie przy
mnie sztywna,
W dwóch słowach zakończymy nasz
ostatni targ.

A potem mnie wysoko złożą na lawecie,
Za trumną stanie biedny sierota — mój
kon,
I wy mnie szwoleżerzy do grobu
zniesiecie,
A piechota w paradzie sprezentuje broń.

Ja wiem, że mi tam w niebie z karku
Iba nie zedrą —
Trochę się na mój widok skrzywi święty
Duch —
Lecz się tam za mną wstawią Olbromski
i Cedro,
Bom był, jak prawy ułan, lampart, ale
zuch.

Może mnie wreszcie wsadzą w czystość na
odwachu,
By aresztem o... wodzie spłacić grzechów
kwit,
Ale myślę, że wszystko skończy się na
strachu
A stchórzyć raz — przed Bogiem — to
przecież nie wstyd.

Lecz gdyby mi kazali wyroki ponure
Na ziemi się meldować — by drugi raz żyć,
Chciałbym starą z mundurem wdziać na
siebie skórę —
Po dawnemu... wojować, kochać się i pić.

Stanisław Mackiewicz (Cat)

WANDA KRAGEN

Kronika dni wrześniowych

1 września

Wstał, jak od dni kilku, promienny, błękitny dzień wczesnej jesieni, upalny, zasnuty babim latem — jeden z tych dni, w których zdwojonym tętnem szumi krew w żyłach i radość życia przepełnia serce. Szeroko otwarte drzwi i okna naszego mieszkania na piątym piętrze chłoneły słońce i światło, z tyłu, na wielką łąkę obok żelaznych zbiorników gazowni wylegli jak co dzień ludzie z pobliskich domów, rozkładali chustki i koce, wystawiali wózki z dziećmi do słońca, na wiadukcie dzwoniły czerwone tramwaje, wróble ćwierkały, z dołu niesły się głośnie nawoływania przekupniów: „do pomidorów, pomidory sałatkowe, jabłkowe, do karlików, do karlików” — cały codzienny, zwyczajny zgiełk, tak dobrze znany i swojski, że się go już omal nie słyszało, wdzierał się do pokoju. Dochodziła godzina ósma, zaszliśmy jak zwykle do stołu, mówiliśmy o rzeczach zwykłych i codziennych, kwiaty na oknie śmiały się kolorowymi plamami.

Nagle tę powszednią wrzawę i rozgwar miasta, tę ciszę nieba i zwyczajność dnia rozdarły głucho, dalekie detonacje. Po chwili, na rozwi-dnionym błękitnie, wysoko, wysoko w górę, wykwitło kilka białych, ogromnych ptaków. Detonacje zbliżyły się. Jeszcze wciąż nie wierzyliśmy... W tej chwili, w pół taktu, zamilkła muzyka w radio i rozbrzmiało zawołanie — zawołanie tragiczne



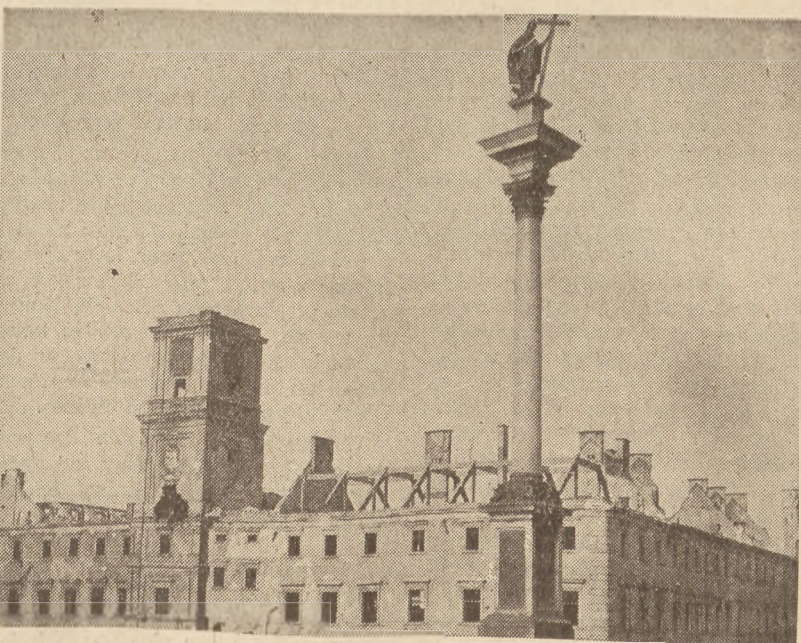
Październik 1939: Plac Teatralny w Warszawie po kapitulacji

i pełne patosu: „Uwaga, uwaga, nadchodzi. Komenda OPL zarządza alarm lotniczy dla miasta Warszawy — dla miasta Warszawy!” A potem syrena, długa, przeciągła, groźna. Już buczały wszystkie syreny w mieście. W oka mgnieniu ludzie rozpierzchli się na wiadukcie, łąka opustoszała, tramwaje stanęły, wozy podjechały do krawężników.

Tak zaczęła się wojna.

3 września

Na pierwszą wiadomość w radio o wypowiedzeniu Niemcom wojny przez Anglię płomienny entuzjazm ogarnął Warszawę. Olbrzymi tłum manifestował przed ambasadą brytyjską na Nowym Świecie, obrzucał ją kwiatami. Minister Beck przyjechał, aby uściskać dłoń ambasadora.



Wrzesień 1939: Zamek królewski zbombardowany przez Niemców

Świat pojaśniał. Odtąd nie mieliśmy się już bić samotnie. Warszawa wyległa po południu na ulice, kawiarnie są pełne. O niczym innym się nie mówi, tylko o ofensywie na zachodzie. Alarmy lotnicze mijają bez wrażeń. Jemy świetne ciastka i przy pół czarnej politykujemy, politykujemy... Wojna jest wygrana.

5 września

Posępność spadła na miasto, z dnia na dzień, przez noc, zmieniło się jego oblicze. Tysiące uchodźców suną ulicami, jadą furgony wojskowe, dudnią armaty, gnój i kurz pokrywają asfalt, nawet kwiaty na grzędach zdają się blaknąć i gasnąć, nawet słońce zdaje się świecić mniej tryumfalnie. Stało się to zupełnie nagle — w sam środek kipiącego życia, które mimo nalołów i bomb szło niemal normalnym trybem, wypełniła groza, bliskość bezpośredniego niebezpieczeństwa zawisła nad Warszawą. Wróg zbliżył się — pancerne dywizje zmotoryzowane opasują Warszawę z trzech stron, podchodzą pod mury otwartego miasta, w którym półtora miliona serc bije w zawrotną trwodze. W piątym dniu wojny Niemcy stoją pod murami stolicy... Gdzie nasza armia, gdzie nasze dowództwo? Tego nikt nie przewidział, na to nie był nikt przygotowany. Czujemy wszyscy, że dla nas dopiero teraz, dopiero dzisiaj, rozpoczyna się wojna. Od razu jest inaczej. Głuchy lęk szarpie wnętrzności. Na dnie serca, w ciszy, w którą nikt nie zaziera, kołocze raz po raz pytanie bolesne i pełne zdziwienia: skąd ty tutaj, w tym ośrodku historycznych i krwawych wydarzeń, twarzą w twarz z olbrzymią, groźną niewiadomą?

6 września

Rozświetlona głęb nieba, żar słońca, rudawy koloryt drzew, jesienne kwiaty, niedawno posadzone w ogrodach i na skwerach, zdają się uragać i szydzić z tego, co się dzieje. Bezludna wędrowka obywateli Warszawy wznaga się z godziny na godzinę. Gołębie płożone hukiem bomb zrywają się i lecą, zataczają wzburzone kręgi w niespokojnym powietrzu, opadają, przycupują na moment na skwerach i pod domami. I one także nie wiedzą, dokąd lecieć — gdzie jest bezpieczniej, skąd spadnie śmierć. W nich również jest ów przemożny instynkt życia — ten sam, co w ludziach.

Po południu, między jednym nalołem a drugim, przemiesimy się do znajomych w śródmieściu. Jesteśmy teraz w samym centrum Warszawy. Kołują, idą ludzie z wózkami, bagażem, pościelą, tobołami — jedni w tę, drudzy w tamtą stronę. Przenoszą się z miejsca na miejsce, szukają bezpieczeństwa. O konie jest coraz trudniej, taksówki zniknęły. Za ręczny wózek płaci się fantastyczne ceny. Pieniądz już nie ma wartości. Wartość ma już tylko życie. Posterunki policyjne ściągnięto z ulic. Wojska nie widać. Co to znaczy? Co to znaczy?!

Wcześniej udaliśmy się tej nocy na spoczynek. Mój mąż zasnął natychmiast. Mnie obce otoczenie, napięte nerwy i dygot serca nie pozwoliły spać. Wszystko odbyło się zbyt nagle, zbyt niewiarogodnie, aby umysł i dusza mogły ogarnąć sytuację i o-

Pamięci Stefana Starzyńskiego

swoić się z nią. Wreszcie zapadłam w nerwową, pierzchliwą półsen.

Wtem — była może godzina jedenasta — posłyszałam szybkie kroki w sąsiednim pokoju, zapalono światło, męski głos mówił coś w podnieceniu. Narzuciłam szlafrok i weszłam. Pani domu, blada jak śmierć, pakowała do chlebaka trochę rze-



Stefan Starzyński

czy. „Apel w radio pułkownika Umiastowskiego — szepnęła, — mężczyźni do lat pięćdziesięciu mają natychmiast opuścić miasto. Mój mąż i szwagier wychodzą”.

Serce szarpnęło się i skoczyło niby ranny ptak. Obudziłam Janka. Nie chciał zrazu iść. „Mój instynkt mówi mi, żeby nigdzie nie iść. Żeby tu zostać, cokolwiek przyjdzie”. — „Tu przyjdą Niemcy — powiedziałam — jeśli masz ginąć, to z bronią w rękę, w naszej armii. Zgłoszisz się do pierwszej napotkanej po drodze formacji wojskowej. Jesteś oficerem rezerwy”. Niechętnie, z ociąganiem, zebrał się. Nie miałam czasu pożegnać się z nim, powiedzieć mu słowa. Pan domu zbiegł na posterunek policji w sąsiedniej kamienicy. „Natychmiast wychodzić, policja ewakuuje się o świcie” — oświadczone. Poszli. Była godzina dwunasta.

Stanął na balkonie. W ulicy, spo-witej czarnym kirem zasłon, nie dostrzegając niczego, nie mogłam nawet odróżnić drzew od ludzi. Słyszałam tylko, że tam w dole, pod mną, wszczynają się jakiś niepokój i szum, że z bram wychodzą ludzie i idą. Słyszałam urywane głosy, szmery, zawołania. Słuchałam tych głosów, tak odmiennych i niepodobnych do beztroskiego, nocnego gwaru miasta, jak gdyby nie parę dni, ale lata dzieliły tę noc wojny od nocy pokoju.

O godzinie trzeciej nad ranem radio podało zwycięży komunikat rządu. „Wobec niebezpieczeństwa, zagrażającego stolicy, rząd był zmuszony opuścić miasto, z niezłomnym postanowieniem powrotu po wygranej wojnie. Sławoj Składkowski, premier”.

Tyle, ani słowa więcej. Ani słowa otuchy i pocieszenia dla tych, którzy mieli pozostać i ginąć. Ani słowa porady, co mają robić i jak się zachować. Komunikat tragiczny i gorzki.

Twarz pani domu zapadła się i poszarzała. Byliśmy same. Mężowie nasi wyszli. Za parę godzin Niemcy mogli wejść do Warszawy. Spaliłam w piecu notatki i listy. Ziemia rozstępowała się pod nogami. Świat walił się.

Znowu wyszłam na balkon. Tam z dołu biła ku mnie bezkształtna, nieuchwytna, niewidzialna groza — groza krzycząca niesamowitą ciszą, a zarazem pełna turkotu i brzęku. Wówczas to, w tę noc czarną, nieprzejrzystą, migoczącą gwiazdami, począł się ów ruch paniczny i nieopanowany, poczęła się owa fala, która płynęła, toczyła się i płynęła przez całe dni bez przerwy — ogromna, wezbrana, zmęcna fala uchodźców, ludzi idących na tułaczkę, w obcość, byle uciec przed najeżdżającą, nie stanąć z nim oko w oko. Szli, wpełzali jak cienie z czarnych, mrocznych ulic, te cienie zbiegały się, skupiały i zlewały w Alejach Jeruzolimskich w jeden nurt, który walił ku Mostowi Poniatowskiego, za Wisłę. Szli, szli, szli — mężczyźni,

zdrowi i młodzi, że dziw brał, dlaczego nie w mundurach armii, kobiety i dzieci, starzy i młodzi, zdrowi i chorzy — na wozach, wózkach, platformach, na furach, furmankach i pieszo, pieszo, pieszo. Szli, opuszczali Warszawę, miast jej bronić. Szli objuczeni, z walizkami, paczkami, betami, plecakami, nierzadko w groteskowych, letnio-zimowych strojach, wszyscy z pełnymi rekami, zgorączkowani, bezradni, zdyszani. Szli z obiedem w oczach, nie wiadomo dokąd. Nikt ich nie zatrzymywał. Dziesiątki tysięcy mężczyzn, zdolnych do broni, wyszły w tę noc z Warszawy. Wojsko i posterunki policyjne miały opuścić przed świtem miasto.

Podpełzała pod serce, miażdżyła je bezimienna trwoga. Trwoga przed czymś tak strasliwym, że wszystko inne, nawet walki uliczne, wydawało się lepsze. Niemiec wejście nad ranem do Warszawy, wódz barbarzyńców odbędzie zwycięski wjazd do stolicy Polski, Antychryst — zatriumfuje. A gdy podda się stolica, załamię się duch narodu. W siódmym dniu wojny.

Wschodzi świt. Czarność szarzeje. Najtragiczniejszy świt w dziejach Polski. Stoję na balkonie i nasłuchuję.

7 września

Kiedy o godzinie 10 rano staję na zaśmieconym, zagnojonym wiadukcie, fala uchodźców płynie w stronę Pragi. Drugi, całkiem skromny ciąg sunie w odwrotnym kierunku. Przeszają pojmować. Jestem słabą, drobną kruszyną człowieka, i tutaj, w Warszawie, dosięgnę mnie los.

Wtedy to, w tych najcięższych chwilach, kiedy wszystko dokoła rozpadało się i waliło, w ogólnej panice, bezładzie i rozstroju, jeden człowiek stanął przed mikrofonem radia, aby dodać otuchy ginącym i zrozpaczonemu. Jeden człowiek uratował warszawię, wywołał nas z dna zwątpienia i beznadziei. Człowiekiem tym był prezydent miasta, major Stefan Starzyński. My wszyscy, zamknięci w oblężonej twierdzy Warszawy, w twierdzy nie opancerzonej żelazobetonowymi murami i fortami, w twierdzy serc i rąk przejących się ku obronie, pamiętać będziemy jego męskie, nie ukrywające żadnej prawdy wystąpienia, jego bezprzykładną energię i upór w walce z defetyzmem i rozpaczą. Nie opamiętał nas w potrzebie, jak inni, jak wielu, jak cały obóz rządzący — i nasze serca przylgnęły do niego na zawsze.

Po południu

Drobne oddziały wojska snują się znów w ulicach. Jeszcze chaotycznie, jeszcze bezplanowo, ale są. Granatowe mundury policjantów pokazały się na ulicach i objęły straż obok tworzącej się już Straży Obywatelskiej. Warszawa będzie broniona — do upadłego. Nie zostawiono nas samych. Zrobiło się widniej.

Na murach, w bramach domów pojawiły się odezwy:

„Żołnierze załogi Warszawy!

Wódz Naczelny powierzył nam obronę stolicy. Zadał On, by o mury Warszawy rozbił się napór wroga, by został położony kres niszczeniu polskich ziem, pomszczeni polegli w boju koledy, poległ śmiercią żołnierską mężczyźni, kobiety i dzieci. Mamy podać rękę utrudzonym w boju oddziałom, ułatwić im dalsze zadania bojowe.“

11 września

Nasz dom jest jak ul. Pełen wewnętrznej brzęczenia i zgiełku, krzątania i ruchu, spęczniały masą ludzi, którzy w nim nigdy przedtem nie mieszkali, pełen nasłuchiwanie i niepokoju. Gdy zaczyna się bombardowanie, gdy na podwórzu poczynają spadać żelazne groty i odpryski a mury domu wibrują łoskotem, otwierają się drzwi na wszystkich piętrach, wycierają z nich blade, przemęczone twarze. Po chwili, ubrojeni w maski, z nieodłączną walizką lub plecakiem, poczynają się ludzie wysypywać z mieszkań, z zagrożonych komórek ula. To powtarza się po kilkakroć za dnia, powtarza się w nocy... Potem, gdy nalot lub obstrzał naciha — o zupełnym spokoju na froncie warszawskim nie ma mowy — życie roju idzie dalej, kobiety biorą się do gotowania sprzątaniam, niektórzy lokatorzy wychodzą na miasto, by zasłęgnąć języka, do najbliższej kawiarni na pół czarnej, po gazetę, którą wywołują mali roznosiciele. I znów grad żelaza, łomot i szczęk, znów brama, klatka schodowa, schron... Tak jest codziennie, tak żyjemy.

12 września

O godzinie 10 rano prezydent Starzyński, niestrudzony, ochrypliwy z przemęczenia, stanął przed mikrofonem:

„Potrzeba mi — rzekł po prostu — 600 młodych ludzi, odważnych, gotowych do boju na śmierć, do upadłego. Potrzeba mi ich dziś, teraz, zaraz. Nie zawiodłem się dotąd nigdy na was, obywatele, i wiem, że nie zawiodę się również w tej chwili. Za pół godziny mój pełnomocnik i ja czekać Was będziemy przed pałacem Mostowskich. Powtarzam: 600 młodych, dzielnych, gotowych na walkę aż do śmierci ludzi. Zostaną natychmiast umundurowani i uzbrojeni i utworzą I. Oddział Pułku Obrońców Stolicy, jej honorowy poczet. Za nimi pójdą dalsi. Na razie potrzeba mi 600! Za pół godziny na Przejęczdzie. Czekam!“

Pobiegłam natychmiast przez ulice pokryte szkłem i gruzem. W oknie na Wierzbowej wykłóty ku mnie za połamanymi szybami piękne brzośkwinię — już chyba ostatnie w Warszawie. Kupiłam jedną i z soczystym owocem w ustach biegłam dalej. Na Bielańskiej, wśród stłuczonego szkła i zgruchotanych framug, zaśmiały się kolorową tęczą barwnie szaliki, sprężył się rząd rękawiczek we wszystkich odcieniach. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Ale ręki nikt nie wyciągnął. Nie kradzież była w głowie mieszkańcom Warszawy.

Leszno zamykała olbrzymia barykada, spiętrzona tramwajami, deskami, łomem. Za kwadrans byłam na Przejęczdzie. Przed pałacem Mostowskich falował już pięć-ol, sześciotyśięcny tłum, ludzie bili się o pierwszeństwo. Przybiegli tak jak stali, z miejsca, gdzie ich dosięgnął apel: z warsztatu, od zajęcia, od kopania szanów, z mieszkania, przybiegli w tym, w czym byli, w bluzach robotniczych, nierzadko bez marynarek, byle przedzie, byle być pierwszym. Przybiegli, aby iść na śmierć. Bez jednej chwili wahania. W tłumie, dobijającym się do bram pałacu, byli przede wszystkim robotnicy polscy i żydowsy. Byli ci, których zawsze odpychano od współdziałania w rządach i władzy, ci, którzy stali w hierarchii społecznej na dole. Jeśli kto zdał w tych dniach egzamin patriotyczny i obywatela — to przede wszystkim prosty, szary człowiek, który wychynał nagle z ciemnych nor i suteryn i zdarł szminkę z oblicza Warszawy.

15 września

Ptaki nie pioszą się dzisiaj, ludzie nie patrzą trwożnie w rozwidnione niebo, chodzą spokojnie i zwyczajnie. Jest cisza — cudowne godziny wyciszenia po ogromnym napięciu dni ostatnich. Groza odsunęła się — zapewne nie na długo. Ale każda godzina jest błogosławieństwem.

Na ulicach Warszawy odbywa się wędrówka ludów. Ulice są zmęczone i zgaszone, pokryte kurzem i gnojem mimo corannego sprzątaniam, ulice są zastawione barykadami, bruki rozkopane. Tłum w ulicach jest tak niepodobny do zwykłego tłumu spacerowiczów warszawskich, że trudno uwierzyć, że to ta sama Warszawa po dwóch zaledwie tygodniach. Szary jest ten tłum i niezróżnicowany. Usminkowane, wystrojone panie zniknęły, wyjechały albo nie szminkują się więcej, zdjęły kapelusze, włożyły na głowy szale i chustki, pochowały do szaf eleganckie płaszcze i kostiumy, chodzą w byle czym, upodabniając się do kobiet z proletariatu, jak dzieje się zawsze w epokach zamętu. Zniknęło, zapadło się wszystko wytworne, błyszczące, eleganckie. Ci, co zostali, ubrani najskromniej, zdobywają przede wszystkim żywność, walce o nią poświęcają maksimum energii i przemysłowości. Parołem dnia jest chleb, tłuszcz, kartofle. Mężczyźni i kobiety biorą o świcie worki na plecy i wędrują na Czerniaków, lub jeszcze dalej, gdzie można dostać kartofle i kapustę, kopane w ogniu. Dowóz ustal zupełnie. Czasy, w których okna wystaw gastronomicznych prezentowały najwspanialsze smakołyki, a półki sklepów uginają się pod ciężarem towarów, wydają się dzisiaj, w piętnastym dniu wojny, mityczne i nieprawdziwe. Czasy, w których wychodziło się na ulice, aby iść na spacer, odsunęły się w zamierzchłą dal.

Ulicami ciągną także rzesze uchodźców — ten najbardziej tragiczny odmet wojny, ludzie, których niespodziewany kataklizm wyrwał z korzeniami z gleby, i rzucił na

oślep przed siebie. Kiedy przed paru miesiącami oglądaliśmy w pismach zdjęcia uchodźców hiszpańskich, mówiliśmy: tak, to straszne. Ale czy zdawali sobie w głębi serca sprawę, co to znaczy naprawdę, i jak taki tłum z bliska wygląda? Czy zdawali sobie sprawę, jaki bezmiar nęczył się w takich tułacznych pochodach?

Dziś taka sama fala kołacze do naszych bram, zalewa nasze ulice, leży pokotem w salach kin i kawiarni, w piwnicach i schronach, tłoczy się przed zorganizowanymi napręde biurami kwaterunkowymi. Nie podobna w ciągu paru dni sprostać potrzebom stutysięcznych rzesz, które w panice, w pośpiechu, bez najmniejszej rzeczy opuściły swoje siedziby, nie podobna zapewnić wszystkim pomieszczenia i żywności. Przyszli spod Łodzi, spod Tomaszowa, z Mińska, zewsząd... Są chorzy, obdarci, najniebezpieczniejsi z ludzi, bo bez dachu nad głową. Szli pieszo do tej Warszawy, którą uważali za bezpieczną, szli nierzadko setki kilometrów, z kobietami, dziećmi, bagażem. Są głodni. Są straszliwie zmęczeni. Warszawa nie była przygotowana na ich przyjęcie. Nie spodziewano się, nie przewidziano tej fali. Nie przewidziano, tego, co się stało: porażki, odwrotu wojsk z całej Polski.

Wierzmy, musimy wierzyć, że ta wojna będzie dla nas zwycięska. Ale w nas wszystkich, tutaj w Warszawie, rodzi się i rośnie ogromna gorzka i żal do naszych sprzymierzeńców: że pozwalają nam ginąć w ten sposób, bez pomocy. Bez żadnej pomocy.

Wieczorem przemawia codziennie major Starzyński, Księżę Niezłomny niezłomnej Warszawy; ochrypliwy głos załamuje się ze zmęczenia. Mówi o wszystkim, o sprawach codziennych i zwykłych, które teraz zatraściły zwykłość i stały się istotne i ważne. O tym, że musimy zamiatć ulicę z gruzu i szkła, że należy otwierać sklepy, uruchomić jądłodajnie, bo żołnierz czy wysiedleńca jest głodny — przekonywa nas, prosi, abyśmy w granicach możliwości żyli normalnie, przyrzeka, że wojsko Warszawy nie odda, że bronić jej będzie do ostatniego żołnierza. „Idźcie o dni, idźcie o godziny, pomoc jest bliska. Jest ciężko, jest bardzo ciężko, ale musimy wytrwać. Nie wolno nam opuszczać rąk i zdać się na los. Ten los trzeba wykuwać tu, na miejscu, trwaniem na posterunku, choćby to był posterunek najskromniejszy. Jedyne w ten sposób, przez podtrzymanie ciągłości życia i jego normalizację, pomożemy walczącym na froncie oddziałom. Opuśczenie rąk jest już naszą porażką i, tym samym, tryumfem wroga.“

W czasie jego przemówień cała Warszawa skupia się przy głośnikach. Wszystkie głośniki są otwarte, wszędzie, gdziekolwiek jesteście, rozbrzmiewają męskie słowa Prezydenta. Łzy błyszczą w wielu oczach, spada na człowieka jakiegoś cudowne pokrzepienie. Jak gdyby było lepiej przez sam fakt, że On tu jest i czuwa. A potem, wczesnym ranem, wiadać kobiety i dzieci zamiatające chodniki i jezdnie przed domem, wiadać otwarte sklepy i restauracje, i czerwony autobus, który przez kilka dni nie kursował, znów obsługuje dwie linie.

16 września

Zwłoki ludzkie grzebie się na skwerach i placach śródmieścia, nie sposób więc je podczas nieustannych nalotów na dalekie cmentarze. Tam, gdzie niedawno uśmiechały się rabaty kwietne, narastają biedne kopczyki z krzyżem, wbitym w gliniastą ziemię, nierzadko bez napisu. Coraz głośniejsze, coraz bliższe detonacje. Linia ognia zbliża się. Nikt już nawet do bram nie ucieka, nikt się nie chroni. Alarmy lotnicze przestały rozbrzmiewać. Lotnicy niemieccy z najbliższych okolic wzbijają się w przestwór, zrzucają bomby na miasto, ładują, by zabrać nowy ładunek. Naszych pościgowców dawno już nie ma, nasze zenitówki i działa przeciwlotnicze milczą.

Wykrzesaliśmy z siebie determinację żołnierzy. Jesteśmy zdecydowani każdej chwili na śmierć. Śmierć spada z nieba.

17 września

Radio spełnia osobliwą funkcję w obecnej wojnie. W południe ohydny skrzek Hitlera obwieszcza świa-

tu, że Polska wymazana została spośród narodów żyjących, że osiągnięła ją zasłużona kara za porwanie się na potężną Trzecią Rzeszę, że jej już nie ma i nigdy nie będzie. Wieczorem odpowiada mu stąd, z ośrodka zbrojnego oporu, major Starzyński. Demaskuje fałszywe i kłamstwa, stwierdza, jak jest naprawdę. Radiostacje, londyńska i francuska, zwracają się do nas z pozdrowieniem i apelem do wytrwania. Kosmiczne fale płyną eterem, docierają do nas, do obleganej Warszawy, nikt ich wyłapać ani powstrzymać nie może. Przedzierają się do naszych uszu pomimo ogłuszającego grzmotu kanonady, pomimo szalejącej śmierci.

23 września

Trudno wyjść w tych dniach na ulicę. Ludzie pędzą od bramy do bramy — ziemiste twarze, obłąkane oczy, hektyczne plamy na policzkach... Każdy z wybuchających pocisków znaczy śmierć muirom i ludziorom. Zgroza, zagłada, zniszczenie. Nie wiem, czy cieszyć się, że jeszcze żyję, że jestem tutaj? Że dni mijają — i że ja trwam? I że dokoła mnie trwają inni ludzie? I że żaden z nich, nawet najsłabszy, najbardziej lekliwy, nie mówi o poddaniu się? Pomimo cierpienia i trwogi cudowne są te dni — i nawet te nieprzespane, pełne huku noce. W Warszawie bije głośno serce świata.

Zal mi ludzi takich, jak Tomasz Mann. Jak on się musi wstydzić, że jest Niemcem.

O godzinie czwartej po południu woda przestaje iść z kranów. Uszkodzili stację pomp, wstrzelali się w zbiorniki i filtry. Z kranu na podwórzu cieknie jeszcze czas jakiś mętna strużka. Potem i ona niknie. Warszawa jest bez wody.

O godzinie siódmej gaśnie światło, gasną wszystkie lampy, radio milknie. Jesteśmy bez światła. Pani B., u której znalazłam chwilowy przytułek, pyta: „Co dalej?“ „Milczymy. W przedpokoju kobieta ze złamaną nogą nie traci nadziei. — „Nie ma wody — mówi Jasia — gdy teraz rzucą bomby zapalające...“ — „Będziemy je gasili piaskiem. Trzeba zaraz, w tej chwili, zebrać dużo piasku i rozmieścić po strychach i klatkach schodowych. Trzeba zmobiliżować kolejarzy ze schronu, niech pełnią dyżury na górze. Trzeba...“ — I zastanawia się co robić, i — sama neruchoma — wydaje ze swego fotela polecenia.

24 września

Woda nie idzie. Elektryczność i radio są nieczynne. Krzyki gazięciarzy w ulicach zamilkły, gazety nie wyszły. Najgorsze jest milczenie głośnia. Warszawa upodabnia się coraz bardziej do maleńkiej wysypki, oblanej zewsząd napierającymi dziko falami. Czujemy wszyscy, jak powoli, powoli pogrąża się, zapada, tonie... Czekamy na śmierć. Albo na cud. Kanonada trwa. Naloty trwają. Szrapnele świszczą. Ulice są wymarłe. Giną.

Jest pono niedziela.

25 września

Bezkarnie grasują przez cały dzień nad miastem eskadry niemieckie.

Siedzimy w przedpokoju o grubych murach, słuchamy z zapartym tchem i oszalałym biciem serca i wiemy: z każdym hukiem i trzaskiem wali się żywy dom na żywych ludzi. Wiemy z jasnowidzącą pewnością: tam i tu, dalej i tuż obok nas, giną ludzie, żelazne odpryski wkrębowują się w gorące ciała, ceglana, betonowa lawina walących się domów spiętrza się nad krwawymi sercami. I wiemy: że jeśli w tej chwili jeszcze żyjemy, to przypadek. To tylko przypadek, nic więcej, że ta bomba i ten pocisk drugą sąsiedni dom, nie nasz. Ze płoną domy obok, a nasz ostaje się cudem i skupionym wysiłkiem czuwania. Siedzimy skuleni na podłodze i milczymy. Czasem pani B. rzuca pytanie: „Może zejść do piwnicy?“ Nikt jej nie odpowiada. W oczach młodej dziewczyny, błyszczą łzy. Ma lat siedemnaście.

Wieczorem

Śródmieście stoi w ogniu. Niektóre ulice są kupą gruzów i zglistczy. A pod gruzami, po ulicach, pełnych szkła i rumowisk, po zawalonych jezdniach, pod lecącymi z dachów ognistymi żagwiami, w straszliwym huku pocisków, w syku ognistych płomieni biegą gromady potępińców, szarych, zsiniałych, oszalałych z trwogi — biegą wśród dzikich nawoływań i krzyków, bez celu i ładu, z ulicy w ulicę, w tę, w tamtą, w której jest jeszcze ciemno, w której się jeszcze nie pali, dopadają jakiejś bramy, aby za chwilę z niej wypaść, bo w dom strzelila bomba, bo i ten dom płonie... Biegają, biegają. Gore! Ognia nikt nie gasi.

27 września

Cisza. Zupełna, niesamowita cisza, bardziej złowroga i przerażająca od huku, do którego przywykliśmy. Nie pojmujemy, co ona znaczy. Radio milczy. Żadna ulotka nie ukazała się na mieście.

Cisza trwa. Bolesny, straszny ucisk leży na sercach. Co to znaczy? Nie dowierzamy tej ciszy, wyczuwamy, w niej tylko zapowiedź czegoś, czego określić ani nazwać nie potrafimy. Czegoś jeszcze gorszego...

O godzinie piątej po południu pani B. zawołała córki i mnie do jadalni, uraczyła nas herbatą i powiedziała: „Przed chwilą był u mnie znajomy oficer ze sztabu. Nie będzie więcej strzelania ani bomb. Ta cisza... to kapitulacja Warszawy.“

Tego dnia, o tej mniej więcej godzinie, kiedy kapitulacja stała się wiadoma, coś załamało się i pękło w duszach wszystkich mieszkańców Warszawy.

1 października

Mam wrażenie, że wszystko, co dotąd przeżyliśmy, było jedynie wstępem do tego, co przyjdzie. Czy nie ma siły, która by ich pokonała? I starła w proch, jak oni nas starli! Nie myślę, zakazać mózgowi myślenia, a sercu — czucia. Boję się.

Na Nowym Świecie, przed rozlupanym domem, zatrzymało się auto. Wysiadł oficer niemiecki i szczyrzył zęby w śmiechu. Tacy są ludzie, którzy będą rządzić pokonanymi.

Wanda Kragen

SYSTEMATYCZNY PRZEGLĄD USTAWODAWSTWA POLSKI ODRODZONEJ

USTAWY • DEKRETY • ROZPORZĄDZENIA OKÓLNIKI • WYJAŚNIENIA

W CPRAWOWANIU

DR. STEFANA NOWIŃSKIEGO
ADW. MIECZYSLAWA WARMA
DR. JERZEGO WISZNIEWSKIEGO

PRZY WSPÓŁDZIAŁE

DR. IGNACEGO RÓŻAŃSKIEGO

STRON 837

CENA 800.— ZŁ

„CZYTELNIK“
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

TADEUSZ DOBROWOLSKI

Kilka uwag o „przestrzeni” w obrazie

W artykule „O hermetyzmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa” („Odrodzenie”, nr 80) wspominałem krótko o nieprzestrzenności obrazów Bonnard. Reakcja moich oponentów na wspomniany artykuł przybrała formy tego rodzaju, że ogarnęły mnie wątpliwości, czy w ogóle warto pisać, skoro nawet czytelnicy z pretensjami do pewnej klasy intelektualnej nie rozumieją, czy też nie chcą rozumieć, o co chodzi. Niemniej postanowiłem podjąć na razie próbę wyjaśnienia przynajmniej problemu „nieprzestrzenności” obrazów Bonnard, nie tyle z tego powodu, że na owym wyrazie oparto tezę o cechującej mnie niewrażliwości plastycznej, ile z tej przyczyny, że kwestii przestrzenności czy nieprzestrzenności malarstwa nie wyjaśniono w ten sposób, żeby postronny czytelnik zorientować należycie w zagadnieniu. W swoim artykule poruszyłem tę sprawę tylko na marginesie innych rozważań, bardziej zasadniczych. Wobec rozległości i mnogości omówionych w tym artykule zagadnień, tam, gdzie chodziło o tematy poboczne, musiałem niejednokrotnie posługiwać się skrótami, bo inaczej szkic przemieniłby się w książkę. Toteż wiele moich słów pojęto opacznie, wbrew zasadzie, że zarówno obraz jak i słowa należy rozumieć adekwatnie.

Przejdźmy jednak do zagadnienia obrazowej „przestrzeni”. Żeby nie komplikować sprawy, pominiemy problem psychologiczny i zrezygnujemy z odpowiedzi na pytanie, jak się to dzieje, że obraz w zasadzie płaski, złożony z plam barwnych, położonych na dwuwymiarowej płaszczyźnie płótna, przekształca się w świadomości widza na zjawisko np. rozległego pejzażu lub głębokiego wnętrza. Poprzestaniemy zaś tylko na omówieniu ważniejszych typów przedstawionej w obrazie przestrzeni. Nawet w ten sposób ograniczony artykuł zajmie i tak sporo miejsca tym więcej, że wyjaśnienie sprawy wymaga pewnej podbudowy historycznej, która pozwoli może uniknąć nowych nieporozumień.

Celem tego omówienia będzie uzasadnienie, dlaczego w stosunku do malarstwa Bonnard trafniejsze wydaje się użycie przymiotnikowego skrótów „nieprzestrzenność”, niż „przestrzenność”, pomimo że właściwie każdy obraz „przedstawiający” jest do pewnego stopnia przestrzenny, bo przestrzenność jest nieodzowną cechą przedstawionych przedmiotów fizycznych. Pojęcie przestrzenności nie jest jednak jednoznaczne, gdyż przestrzeń bywała w różnych czasach i w różnych stylach pojmowana rozmaicie. Prowadzi to do wniosku, że malarska przestrzenność czy nieprzestrzenność są pojęciami względnymi, że odnośne własności obrazów należy badać w stosunku do przestrzeni fizycznej oraz w stosunku do „przestrzeni” obrazów innych.

Różne typy przestrzeni obrazowej stanowią etapy w ewolucji sztuki przedstawieniowej (takiej, która coś przedstawia), począwszy od sztuki archaicznej, tzw. prymitywnej, a kończąc na sztuce iluzjonistycznej, dającej pełne złudzenie rzeczywistości przestrzennej. W stadium kultury prymitywnej, a także w sztuce dziecka, występuje przestrzeń konwencjonalna, jak gdyby umowna czy domyślna. Rozmieszczenie przedstawionych przedmiotów (ludzi, zwierząt, drzew itd.) obok siebie lub nad sobą — stanowi tylko aluzję do przestrzennego świata. Postępem, oczywiście nieznanym, na drodze do opanowania przestrzeni jest przysłonięcie jednej postaci przez drugą. Postaci te bywają płaskie, traktowane sylwetowo, wobec czego obraz (rysunek lub ryt) przypomina jak gdyby wycięte z papieru sylwety nałożone jedna na drugą, co nie daje jeszcze złudzenia naturalnej przestrzeni. Przestrzeń w tego rodzaju przedstawieniach jest przestrzenią idealistyczną, abstrakcyjną czy intencjonalną, uzasadnioną stopniem odnośnej cywilizacji, kultury plastycznej i trudnościami natury technicznej. Nie od razu bowiem umiano odnaleźć klucz naukowy, umożliwiający tłumaczenie trzeciego wymiaru na system dorównających znaków w dwuwymiarowej płaszczyźnie obrazu czy reliefu.

Naprzód nauczono się przestrzennego czy na pół przestrzennego przedstawienia przedmiotów, przy pomocy modelunku w reliefie, a stosowania walorów, tj. tonów jasnych i ciemnych, w malarstwie. Iluzjonizm stał się naprzód zdobyczą malarstwa rzymskiego, tzw. IV-go stylu pompejańskiego, co można zapewne wiązać ze zmysłem realizmu, właściwym naturze Rzymian. Iluzjonizm ten

sem odkryciami w zakresie perspektywy powietrznej. U mistrzów „quattrocenta” (XV w.), przejętych doniosłością odkrycia, owa „robotka” perspektywiczna występowała nieraz jak gdyby na pierwszy plan problematyki malarskiej, co powodowało efekty czasem dość naiwne, lecz pełne swoistego uroku. Pewna ostrość i twardość konturów, nie tylko architektonicznych lecz i postaciowych,

ry z natury rzeczy sugeruje najbardziej przestrzenne ujęcia, nie stanowi jednak dominanty obrazu, poświęconego przede wszystkim przedstawieniu człowieka.

Krajobraz samoistny rozwija się głównie na terenie Holandii w XVII wieku, a więc w tym okresie, kiedy iluzjonistyczne malarstwo religijne osiąga swoiste szczyty, przedłużając, w ślad za Michałem Aniołem, archi-

statnim planie błękitnego horyzontu, przenikającego się z przeźroczystym niebem. Uwzględnią się jednak i odchylenia od schematów, ugruntowane znowu obserwacją stosunków panujących w świecie rzeczywistym. Słynny pejzaż Hobbema z drogą obramowaną drzewami stosuje wyraźne skróty perspektywiczne i prowadzi wzrok widza, za pośrednictwem moływu drogi i towarzyszących jej elementów, w głąb rozległej przestrzeni. Rembrandt zgodnie z manierą po roku 1620 roztopia nieraz krajobraz w złotawym świetle, które jednoczy jego walorowo różniczkowane i dalekie plany. Plamy barwne nie występują tutaj jako odrębne składniki dzieła, zestawione obok siebie na podobieństwo np. mozaiki, lecz przenikają się wzajemnie ze sobą i łączą się łagodnie w ten sposób, że nie podobna określić granic tych plam, podporządkowanych falistości przedstawionego terenu, za którym smugi czy raczej tony barwne zdają się podążać.

Artyści tego okresu nie kierują wzroku widza na plamy malarskie jako wartości same w sobie, lecz na całość wyobrażonej sytuacji przedmiotowej, określonej najwyższą postacią jakościową, że użycie w tym miejscu terminu zaczerpniętego z prac R. Ingardena. Sprawę tę można wytłumaczyć nieco jaśniej na przykładzie. Gdyby np. odsłonić (po uprzednim zakryciu obrazu) tylko część krajobrazu holenderskiego, to zobaczylibyśmy tonowaną plamę barwną, interpretowaną jednak jako fragment dostępnej naszym oczom przestrzeni. Gdyby zaś zastosować to samo do obrazu np. Matisse'a, to moglibyśmy ujrzeć dwie sąsiednie plamy barwne, wyraźnie od siebie oddzielone i grające ze sobą w pewien ważny pod względem estetycznym sposób, ale nie określające jeszcze przedstawionych stosunków przestrzennych. Pochodzi to stąd, że — w przeciwieństwie do Matisse'a — mistrz holenderski kładł nacisk nie tyle na poszczególne, choć scalone w końcu plamy barwne, ile na całość wyobrażonej przestrzeni i wzajemne stosunki w głąb cofających się planów.

Ten sposób malowania polegał między innymi na ukrywaniu tego, co w dzisiejszej gwarze malarskiej nazywa się „malarską kuchnią”, gdyż na ogół ówczesny artysta nie demonstrował ani dotknięć pędzla, ani odgraniczonych plam barwnych, ani innych środków wyrażeniowych, żeby nie zagłuszać nimi iluzji światła; innymi słowy, podporządkowywał środki wyrazu swym celom głównym. Ta metoda malarska obowiązywała w zasadzie długo, bo mniej więcej do epoki impresjonizmu.

Stosowany przez malarstwo impresjonistyczne dywizjonizm, tj. rozbić koloru na jego składniki, warunkował niejako inny proceder faktury, bo posługiwanie się albo tzw. przecinkiem barwnym, albo plamą lub systemem kropek, co musiało wpłynąć na wygląd przedstawionych przedmiotów oraz na sposób ujęcia problemu przestrzennego. W tym przypadku bowiem smugi barwne nie podkreślały bryły przedmiotów ani nie podążają za formą, za kształtem przedstawionego terenu, lecz leżą obok siebie, niekiedy konsyistentne i materialne same w sobie, a nie podporządkowane materialności wyobrażonej przestrzeni (zaznaczam, że piszę tutaj o normach, bez uwzględnienia odchyłek właściwych wielu obrazom).

Inaczej kształtowały się te sprawy w malarstwie Cézanne'a, który nowo jednoczył rozbitane przez impresjonizm powierzchownie przedmiotów, upraszczał i monumentalizował ich kształty, nadając im swoista geometrię, dzięki czemu synonimem przestrzeni stawały się w tym przypadku trójwymiarowe twory kubiczne, oddzielone zresztą od siebie przetłumaczonymi na kolor warstwami powietrza.

Postimpresjonizm, reprezentowany przez żyjących jeszcze malarzy, różniczkował się na wiele odmian, zachowując jednak dziedzictwo impresjonizmu. Przedstawiciele postimpresjonizmu oscylowali i oscylują między swoim protoplastą Cézannem, a wizją typu impresjonistycznego.



MEINDERD HOBBEEMA (1638—1709)

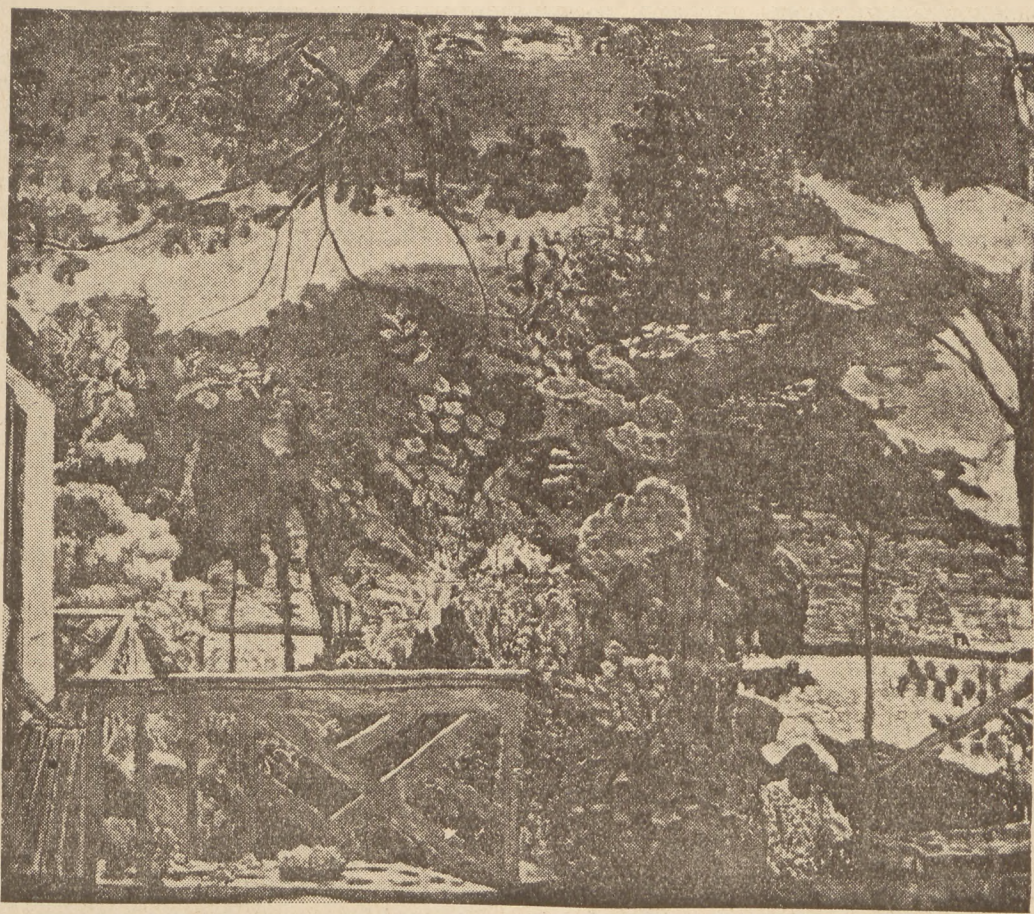
Aleja w Middelharnis

ograniczały jednak dość ciasne konwencje, bo „przestrzenność” sprowadzała się do elementów malowanej, dekoracyjnej architektury, której zadaniem było optyczne poszerzenie ścian sali. Architektura ta prowadziła więc wzrok w nieznaczną głąb przestrzenną przy pomocy pewnych zabiegów perspektywicznych i otwierała swe „okna” na krajobraz o błękitnym niebie zaludniony przez modelowane światłocieniem i kolorem postaci.

Sredniowiecze wraca do stylu pł-

genetycznie rozumiała wobec szukania podnieć w świecie antycznej rzeźby, a także wobec naukowych, schematycznych konstrukcji perspektywicznych — tak klasycznie wyraża u Mantegna — ulegała u końcem XV w. złagodzeniu. Studia nad perspektywą powietrzną, nad światłem, nad prawidłami, które decydują o zmienności barw i ich natężeniu u rozmaicie oddalonych przedmiotów, łączą się z coraz to większym zrozumieniem dla „malarskości” i faktu, iż przedmioty optyczne

teksturę barokowych kościołów i otwierając poprzez nią widok na rozległą i daleką panoramę nieba pełnego świętych i unoszących się w powietrzu aniołów. Krajobraz holenderski rozbudowuje systematycznie element przestrzeni podług pewnego schematu, opartego częściowo przynajmniej na obserwacji. Na przełomie XVI i XVII w. zaznacza się w pejzażu wyraźnie trzy plany, przy czym każdy z tych równoległych „pasów przestrzennych” jest utrzymany w jednolitym tonie:



PIERRE BONNARD

Pejzaż z papugą

skiego i dekoracyjnego; chociaż i wówczas ponawiano dążenia do opanowania przestrzeni. Pełny sukces w tej mierze osiąga jednak dopiero renesans, opierając się zresztą na próbach przygotowawczych, które charakteryzowały sztukę włoskiego „trecenta” zwaną protorenesansem. Odkrycie prawideł linijno-malarskich, umożliwiających rzutowanie wymiaru głębokości na płaszczyznę, było wynikiem długich i żmudnych studiów w dziedzinie perspektywy matematycznej, uzupełnionych z cza-

w naturze nie są wykreślone liniami, lecz składają się z płynnych plam barwnych, oscylujących między cieniem a jasnością. Studia te doprowadzają do powstania późnorenesansowego stylu malarskiego a nawet swoistego impresjonizmu Pierra della Francesca, do iluzjonizmu Leonarda da Vinci, Rafaela, Michała Anioła (u którego kontur i twarda, „rzeźbiarska” bryła grają wciąż wielką rolę) — do ośniewającej malarskości Tyjcjana. W malarstwie tych mistrzów krajobraz, któ-

pierwszy w brązowym lub ciemnozielonym, drugi w jasnożółtym, trzeci w błękitnym. System ten (pisał o tym z polskich autorów Żarnowski) spełnia rolę przejściową między absolutną kolorystyczną jednolitością i syntezą w sztuce XVII w. Od roku około 1620 trzy plany głębi przestrzennej, dawniej kolorystycznie silnie różniczkowane, zlewają się w całość opanowaną przez jedyny ton, wspólny całemu obrazowi; użycie perspektywy powietrznej zaznacza się tutaj najwyraźniej w o-

W drugim przypadku rezygnują z geometrycznej i brylowatej struktury elementów obrazowych, wracając do barwnej wibracji kolorów, spotęgowanej niekiedy użyciem drobnej plamy. Do typowych poimpresjonistów należy Bonnard, bez porównania bliższy klasycznym impresjonistom niż Cézanne'a. Przerzeczność jego obrazów nie przypomina bowiem ani rozległej i w głąb płynącej przestrzeni Holendrów, ani kubicznych, trójwymiarowych formacji Cézanne'a. Przerzeczność ta jest raczej domyślna, fundowana na naszym doświadczeniu, na wyobrażeniach o świecie, a nie zawarta „implicitnie” w samym dziele, co postaram się bliżej wyjaśnić.

Bonnard postępuje się w budowaniu obrazu systemem płaskich plam barwnych, wyszukanych i odważnych jak gdyby na uncje z niezwykłą finezją. Plamy te nakładają na płótno, licząc się zawsze z płaską powierzchnią obrazu i podkreślając

te płaskość. Oczywiście, może być w związku z jego obrazami także mowa o przestrzenności, jak w odniesieniu do każdego właściwie dzieła przedstawiającego — choćby dlatego, że przedmioty na płaszczyźnie pomniejsza w stosunku do pierwszoplanowych, a barwy przedmiotów dalszych nieraz odpowiednio modyfikuje. Ale plany te są raczej płaskie, bo wyznaczone przez jak gdyby ustawiane za sobą płonowe płaszczyzny. Znamienny pod tym względem jest jego znany pejzaż z papugą, złożony z wielkich, wyszukanych również w sensie liniowym, płaskich koron drzewnych, odsłaniających w pewnym miejscu widok na odległą łąkę z czerwonymi, maleńkimi kolumnami.

Odległy ten wycinek widziany przez rodzaj okna wyciętego wśród drzew, przedstawia się jak płaska kulisa ustawiona pionowo za kulisami pierwszego planu. Te kierunki pionowe są typowe dla obrazów arty-

sty, który je niekiedy podkreśla, buńcząc świadomie normalną przestrzenność. Na przedwojennej wystawie malarstwa francuskiego w Warszawie znalazł się jego piękny akt myjącej się kobiety stojącej na podłodze złożonej z romboidalnych flizów. Otóż, zamiast przedstawić owe flizy w skrócie perspektywicznym, co było przecież zabiegiem bardzo łatwym, Bonnard rozmyślnie przedstawił tę część wnętrza „z lotu ptaka”, stawiając podłogę pionowo w stosunku do innych elementów obrazu i rezygnując dla swoistych celów artystycznych z zasad stereotypowej perspektywy matematycznej. Kiedy indziej konstruuje pejzaż z poziomej strefy fragmentu ulicy i pionowych elewacji dwóch domów, żeby w ten najprostszym zestawie ze sobą trzy płaskie plamy z pominięciem, niepotrzebnych przesłania w tym układzie, perspektywicznych skrótów, w związku z czym „przerzecz” tego urbanistycznego

krajobrazu percypujemy głównie dzięki naszemu doświadczeniu i naszej wiedzy o świecie. Dodać jeszcze należy, że Bonnard unika na ogół silnego modelunku i ujawnia skłonność do wyrównanych napięć barwnych, co także podkreśla płaskość jego malarstwa. Troską artysty jest bowiem, co jasno wynika z jego dzieła, nie tyle osiągnięcie złudzenia przestrzeni, ile doskonałe współbrzmienie barwnych akordów, powiązanych ze sobą w wyszukany i osobliwy sposób.

Tego rodzaju obserwacje nad malarstwem Bonnarda skłoniły mnie do użycia skrótu na temat nieprzerzeczności jego obrazów. Wydaje mi się bowiem i to podtrzymuję nadal, że na styl jego obrazów składają się następujące własności: finezyjny kolor, często wyrównane napięcia walorowe, płaskie nakładanie plam barwnych z tym, że smugi farby nie „idą” za formą — w związku z tym swoista nieprzerzeczność płócien,

raczej dekoracyjnych, konstruowanych z małych i dużych plam barwnych, niekiedy o starannie wyszukany konturze. Powyższa, wciąż jeszcze nie wyczerpująca próba charakterystyki malarstwa Bonnarda oparłem na analizie tych jego obrazów, które go zbliżają do innych malarzy, wrażliwych np. na przestrzenność tradycyjnego typu (bo i takie obrazy można zapewne odnaleźć w bogatym „oeuvre” tego artysty), lecz na analizie dzieł, jak mniemam, bardziej dla jego osobistego stylu istotnych.

Jak świadczą załączone reprodukcje, rozpoznanie przestrzenności np. Hobbemy i swoistej „nieprzerzeczności” Bonnarda nie powinno sprawić poważniejszych trudności. Może jednak rozpoznanie to wymaga pewnego doświadczenia i pewnej wrażliwości plastycznej, zapewne większej od tej, jaką odznaczają się niektórzy moi przeciwnicy.

Tadeusz Dobrowolski

HENRYK SZLETYŃSKI

W perspektywie ślepego zaułka

Sprawa niedomagań naszego teatru nie schodzi z kolumn czasopism. Lecz jakżeż rzadko spotyka się uwagi nowe lub poddające trafne rozwiązanie trudności. Aż do znużenia czyta się wciąż te same, na pamięć już znane dezyderaty, różniące się chyba tym, że w innym podawane sosie. Nie znaczy to oczywiście, byśmy uważali, że to, co robią teatry, trzeba zawsze pozytywnie oceniać. Nie, raczej smutnymi, bośmy sami pełni winy.

Pewnym odchyleniem od stereotypowych recept na uleczenie chorego jest artykuł Krystyny Grzybowskiej („Odrodzenie”, nr 88). Niestety: zawiera on tyle nieścisłości i fałszywych, z samego teoretyzowania wysnutych tez, że omawiając problem od strony w ostatnim okresie jeszcze nie poruszanej, artykuł ten może łatwo sugerować błędny wniosek, że ślepyim zaułkiem naszego teatru jest „silenie się na wspaniałą oprawę dekoracyjną”, co jakoby prowadzi teatry do bankructwa i jest może jedyną przyczyną ich kłopotów finansowych.

Grzybowska zaczyna od niewątpliwie istotnych spostrzeżeń na temat zmniejszenia się ilości premier a zwiększenia ilości powtórzeń jednej sztuki, co prowadzi do zwięzienia kosztów produkcji a rozszerzenia dochodów. Warto byłoby może ten rzut historyczny, od Koźmiana i Gliksona do czasów dzisiejszych, zaopatrzyć uzupełnieniem pominiętych przez autorkę okoliczności, które stawiają całość problemu w nieco innym świetle.

Na przykład: dlaczego teatr krakowski w pewnym przedwojennym okresie dawał 48 premier rocznie? Czy zmuszał go do tego katastrofalny brak frekwencji? Nie. Był to naskik mających wpływy rajców miejskich, którzy chcieli co tydzień pójść do teatru na „coś nowego”. Nie był to zresztą odosobniony wypadek tego rodzaju przyczyn. Kiedy około roku 1935 próbowano w Bydgoszczy zmniejszyć ilość przedstawień operetki, oczywiście operetki budapeszteńsko-wiedeńskiej, na rzecz zwiększonej ilości przedstawień dramatycznych, dyrekcja teatru napotkała zdecydowany opór rajców, doplnionych przez żony i córki. Historia teatru Pawlikowskiego we Lwowie jest o wiele bardziej znamienna aniżeli jego dyrekcja krakowska. Dla historii kultury, a więc i dla naszej pamięci, pozostały nieprzebite widowiska utworów wartościowych. Dopiero szczegółowe zbadanie repertuaru wykazuje, że równowaga budżetu teatru Pawlikowskiego opierała się na różnych szmirach, które ten wybitny dyrektor, pod presją swego apodyktycznego zastępcy, Gliksona, musiał dawać, oraz na ulubionej operetce. Sławne widowisko „Skarbu” Staffa szło trzy razy wieczorem i czwarty raz po południu; w tym samym okresie kretyńską bzdurę „Ach, to Zakopane!” grano 108 razy (tak!) ze świetnym wynikiem kasowym. Dramat wartościowy rzadko przekraczał cztery powtórzenia — kasa była zawsze niepewna. Przed rozpoczęciem takich właśnie spektakli Pawlikowski mawiał do zniechęconych aktorów: „Ja będę na widowni”, ale gdyby

nie „realista” Glikson, dyrektura jego nie trwałaby sześciu lat. Można się o tym przekonać chociażby z pełnych furii korespondencyj Adama Zagórskiego do „Krytyki” feldmanowskiej. Zresztą, T. K. K. T. miało swój Teatr Letni od przysparzania pieniędzy, teatr, który nie cofał się przed pornografią „Kubusiów” czy „Kurników”, a kiedy i tego było mało, wówczas Teatr Polski przegarniał „Rozkoszną dziewczynę”.

Okres krakowski Pawlikowskiego był bez porównania szczęśliwszy. Inne tu były warunki, tu też była najkulturalniejsza w Polsce publiczność. Fakt jest, że ani Pawlikowski, ani Kotarbiński, mimo dramatycznych nieraz sytuacji, o których tak żywo pisze jego dzielna małżonka, ani Solski do teatru nie dołożyli, a nawet...

Ale w dalszym ciągu wywodów Grzybowskiej spotykamy stwierdzenie, którego skutków gospodarczych autorka zdaje się nie dostrzegać: „W Warszawie np. ze zmniejszeniem liczby premier daje się zauważyć wzrost liczby teatrów”. Otóż to! Warszawa ma wreszcie około piętnastu teatrów dramatycznych. Jeśli chce się tę sprawę przejrzeć do gruntu, nie podobna nie zadać pytania: Iluż to widzów uczęszczało do teatrów w tym mieście? Nie mieliśmy odpowiedniego biura studiów, ale według opinii organów statystycznych — mniej niż 150 tysięcy. Jeżelibyśmy tę cyfrę podzielili przez ilość teatrów, wypadłoby zaledwie po dziesięć tysięcy na każdy z nich. Oczywiście, że miłośnik sceny odwieca mniej więcej stale kilka teatrów lub nawet prawie wszystkie. Ale weźmy pod uwagę Moskwę: tam ilość teatrów była wprawdzie tylko trzykrotnie większa, lecz ilość ludzi, bywających w teatrze stale i to po kilka razy na jednym przedstawieniu, przerastała znacznie nasze osiągnięcia. Mimo to, poważne subwencje w razie konieczności są tam czymś tak naturalnym, jak naturalne były one w Grecji starożytnej.

Wzrastająca ilość teatrów pociągąca za sobą zmianę sytuacji i w niektórych krajach była przyczyną kryzysu. Pod tym względem niezmiernie ciekawe jest studium załamania teatralnego przed dwudziestu laty w Niemczech, gdzie dało się zaobserwować typowe zjawisko gwałtownego wzrostu produkcji prowadzącego do nadprodukcji. Jeśli idzie o nasze stosunki, nie wykazaliśmy tendencji planowania, przeciwnie, pojawiła się u nas walka konkurencyjna, której Szyfman magna pars fuit. Grzybowska pisze: „Bezpośrednim następstwem braku pieniędzy w teatrze jest: pogoń za sztuką „kasową”, fobia do sztuk wartościowych, demoralizacja dyrektora i aktorów”. Ta „pogoń” to właśnie walka ekonomiczna typu kapitalistycznego w całej swojej grozie, walka nie tylko o sztukę „kasową”, ale o przekupienie aktora, który (wtedy dopiero!) poprawił swój byt, o bardziej epatujące dekoracje i kostiumy.

A teatry nie mogły przecież dawać tylu premier co w okresie Pawlikowskiego. Istota problemu leży nie w tym tylko, że nie musiały, ale i w tym, że nie chciały. Teatr nie

mógł już uprawiać widowisk szkicowanych w krótkim czasie. Dawniej, w dość znanych teatrach, zdarzało się, że kiedy premiera zrobiła niespodziewaną kłapę, a projekt następnej pozycji budził wątpliwości kasowe, po przedstawieniu rozdawano role z „pewniaka” i w ten sposób wtorkowym szykiem na śródowny targ przyspieszano zmianę afisza. To haniebne postępowanie wreszcie zlikwidowano, co musiało, rzecz oczywista, powiązać się w odpowiedni sposób z sytuacją ekonomiczną teatru.

Ilość materiału, jaką w ciągu roku przerobić musi zbiedzony teatr polski, jest bardzo duża. „Żadna ze sztuk pięknych nie ma takiego wpływu na społeczeństwo jak teatr” — przypomina Grzybowska. Teatrów mamy 30, pośród nich są takie, które muszą zmieniać afisz premierowy nie rzadziej niż co trzy tygodnie, przeciętna ilość spektakli rocznie na wszystkich scenach: 15 000. Proszę się zastanowić nad ogromem energii i wysiłku ludzkiego, zanim spojrzysz do księżek kasowych. Z dzieła sztuki pisarskiej, malarskiej czy muzycznej musi żyć jeden człowiek, dla innych współdziałających w rozpowszechnianiu i przekazywaniu tego dzieła jest ono częścią ich miesięcznego zarobku. Z dzieła sztuki teatralnej musi żyć wielu ludzi. Mamy w Polsce teatry zatrudniające przeszło stu ludzi. Duży dramatyczny teatr w Moskwie czy Leningradzie ma zespół złożony z pięciuset ludzi. I znów konsekwencje gospodarcze: sztuka piękna teatru ma wpływ na społeczeństwo, ale jest kosztowna.

Nie zawsze była ona tak kosztowna. Autorka artykułu „Teatr w ślepyim zaułku” stara się udowodnić, że teatry nasze znalazły się tam właśnie dlatego, że zwiększyły koszty swoich rozchodów. Tak jest, zwiększyły. Tylko czy decyduje tu ta pozycja, przy której upiera się Grzybowska? „W latach, gdy w teatrze daje się zauważyć wzrost frekwencji, wzrastają też, w stosunku nieproporcjonalnym do dochodów, koszty wystawy. Dlaczego?” Odpowiedź: „wystawa”, wynikająca z koncepcji realizmu i autentyzmu scenicznego, jest „sednem sprawy, jedną z najważniejszych, a może jedyną przyczyną kłopotów finansowych w dzisiejszym teatrze”. Znowu przeocza się fakt, że jeżeli koszty w teatrze były niegdyś mniejsze, to przede wszystkim dlatego, że człowiek w nich pracujący pracował za śmieśzną niską płacą, ba, częstokroć — bezpłatnie (Glikson!). Już inspicjent Kapciuchowski w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru” Dobrzańskiego (ósmym dziesiątku lat ub. w.) uzała się, że „dawniej” statysty dopłacali po przedstawieniu, a teraz trzeba im płacić. Dzisiaj statysta żąda za próbę siedemdziesiąt pięć złotych, za przedstawienie — sto pięćdziesiąt złotych, obiady itd. Przyszedł moment, kiedy aktorzy zbuntowali się przeciw aktorskiej nędzy, kiedy powiedzieli, że muszą być opłacani nie tylko u Pawlikowskiego i w „Rozmaitościach”, ale i w Sosnowcu i w Płocku, że chcą być płatni tak jak inni... ludzie.

W chwili obecnej zarobki aktorów i techników sceny są niewystarczające, artyści subwencjonują teatry, jak to podczas uroczystości inauguracyjnej Rady Teatralnej stwierdził wysoki reprezentant Ministerstwa Kultury i Sztuki. Znam taki zespół artystyczny, zresztą najwybitniejszy w Polsce, którego członkowie zgodzili się aż do końca tego miesiąca na diablo niskie zarobki za cenę utrzymania poziomu artystycznego swego teatru. Pozycja budżetowa „pensje pracowników” nie przekraczała 30% całości, gdy przed wojną sięgała 50% (plus 4% ubezpieczeń społecznych).

Czy natomiast pozycja „wystawa sztuk” jest aż tak znaczna, aby można jej było przyznać decydujący wpływ na budżet?

Nie sądzę. Grzybowska nie zna zdaje się na kalkulacji. Przed wojną koszty wystawy nie przekraczały na ogół 10% rocznych wydatków, a w niektórych teatrach i 5%. Jakżeż można zatem budować tezę, że jest to „jedyna przyczyna kłopotów finansowych w dzisiejszym teatrze”, która „doprowadziła właśnie(!) do obecnego kryzysu”? Że w dobie dzisiejszej procent wydatków na wystawę jest może nieco wyższy, tłumaczy się to dewastacją magazynów teatralnych, ale w żadnym wypadku nie można stawiać takiej tezy, zwłaszcza że wystawa teatralna opiera się na materiałach przydziałowych, przede wszystkim jeżeli chodzi o kostiumy (od dawna najdroższa partia rozchodowa). Bo gdzież są takie widowiska, w których „wszystkie rekwizyty teatralne są prawdziwe, wszystkie kostiumy autentyczne, wszystko zmlerza w jednym kierunku: dać widzowi maksimum złudzenia rzeczywistości”? Przecież okres ten mamy już za sobą. Trwał on w naszych teatrach zresztą dość krótko i chyba nie był zbyt kosztowny. Pawlikowski meble autentyczne przeważnie wypożyczał, a sprowadzenie zielonego groszku z Włoch przez młodopolskiego hidalga nie było znów tak bardzo kosztowne... Oczywiście i wtedy i w późniejszym okresie Frycza i Drablika bywały wypadki, kiedy koszty wystawy dochodziły do bająńskich sum, które nieraz zachwiały równowagę budżetu. Na ogół jednak styl, jeśli nie panujący, to dość rozpowszechniony na naszych scenach, związany był i jest z tanioccią sztafażu teatralnego, a koncepcje scenograficzne wiążą się z materiałem tworzący tanim, tańszym od płótna, które niektórzy laicy uważają zdaje się za wyraz dawnej tanioci. Nie są to wprawdzie wystawy tak tanie, jak w tym pięknym wydaniu teatru, gdzie krzesło oznacza szafę, a dwa krzesła — łóżko, ale jednak — tanie. W ostatnim okresie koszty wystawy nie „wzrastały”, ale malały, a to już chyba krzywdząca ocena naszych realizatorów sceniczyńskich, gdy się twierdzi, że „największą(?) troską” tych artystów jest „prawdziwa powódź na scenach lub prawdziwy pożar”.

Jeśli idzie o wiązanie tych czynników z postanowieniami programowo-repertuarowymi, to sztuki „współczesne” powinny być najdroższe, bo teatry nasze stosują przy ich reali-

zacji autentyzm w takim lub innym wymiarze i gatunku, a właśnie sztuki wymiaru innego, szekspirowskiego, podlegają procesom uproszczenia i umowności. Naprawdę jednak jest przeciwnie: najtańsze są komedie mieszczańskie. Ma Grzybowska rację, że dyrektorzy wolą sztukę współczesną od takiej, która wymaga wystawy. W jaki sposób mają „uproszczyć” koszty wystawienia „Krakowiaków i goralów”, niezależnie od tego czy inscenizatorzy tworzą autentyzm, czy stylizację? Czy jednak tak jest w istocie, tj. czy unikanie sztuk o szerokim oddechu nie zostało w roku powojennym co najmniej pomniejszone? Wydaje mi się, że ogłoszenie materiałów porównawczych sezonu (niestety! nikt się tym nie zajmuje) wykazałoby, że w ogólnym bilansie podział nie wypadnie tak źle dla sztuk wymienionych. Jeżeli tak jest, to właśnie dlatego, że nie widać owej hipertrofii wystawowej co niegdyś. Dowodem także interesujące wydarzenie jak „Sen nocy letniej” w Toruniu. Dowodem zamieszczenie przez dyrektora częstochowską (bliisko 40 premier rocznie na dwu scenach) w repertuarze przyszłego sezonu znacznej ilości sztuk trudnych pod względem scenograficznym, a w większych teatrach jest ich przecież większość. Nie ulega kwestii, że należałoby naklonić zasobniejsze teatry do wypożyczenia kostiumów teatrom biedniejszym. Teatry łódzkie i katowickie czynią to hojną dionią, ale najzasobniejszy, Państwowy Teatr Polski, marynuje kostiumy w swoich magazynach, choć mógłby wprowadzić system kaucyjny, jak czyni to, wypożyczając egzemplarze sztuk.

Ucieczka teatrów przed sztukami, o które najślusniej w świecie dopomina się p. Grzybowska, ma swoje przyczyny nie tylko w lęku przed wysiłkiem, częstokroć w indolencji, w zmęczeniu, jakże przeżywa nasz teatr, w braku twórczego wigoru. Daleko i głęboko sięgającym przyczynom, tkwiącym w podstawowych znamionach naszego okresu kulturalnego, towarzyszą dwie okoliczności: sprawa nowego pojmowania gmachu teatralnego i sprawa wizji inscenizatora.

Henryk Szletyński

W poprzednim 36 (93) numerze „Odrodzenia” z dnia 8 września 1946 r.: Leopold Staff: Ogródnicy. — Teodor Hutczew (przełożył Julian Tuwim): Cycleron. — Innocenty Annenski (przełożył Julian Tuwim): Petersburg. — Konstanty Grzybowski: Tydzień polityczny: Naród pragnie pokoju. Włęcz faktów o Niemczech. — Jan Reichman: Węgry, Polska i sąsiedzi. — Stanisław Mackiewicz (Cat): Sojusznicy z Anglią był sojusznikiem egzotycznym. — Artur Sandauer: Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. — Tadeusz Peiper: Z epizodów wrześniowych. — Jan Mey-szłowicz: Strzępy epopel. — Zygmunt Siniński: Sienkiewicz a „Troilus i Kressyda”. — Shakespeare’a. — Stefan Papée: Wśród księżek. — Stefan Papée: Jubileusz najpopularniejszego poety Krakowa. — L. S. Dutkiewicz: Wrocław promieniuje. — Wilhelm Mach: Studium o Sienkiewiczu. — Bogusław Kuczyński: Notatki angielskie. — Nagroda plastyczna. — Józef Sierada: Książka o Krzyżakach. — ew: Z wystaw w Krakowie. — stp: Polskie tradycje Wrocławia. — Aleksander Ossowski: Światło nad Odrą. — Korespondencja. — 6 ilustracji. — 12 stron.

ILIA ERENBURG

W KANADZIE

przełożyła ZOFIA MARYNOWICZ

GŁÓD KSIĄŻKI

Kanada — to rozległy kraj, ale Kanadyjczyków nie ma dużo — około dwunastu milionów. Zaludniony jest tylko wąski pas wzdłuż granicy ze Stanami Zjednoczonymi, dalej — pustkowia i rozchory o przyszłości.

Piękny to kraj — ogromne rzeki, lasy, morza słynnej pszenicy, surowe śnieżne zimy i burzliwe wiosny; ożywczy duch Północy wyczuwa się zarówno w przyrodzie jak i w ludziach. Ludzie ci potrafią pracować i swoją upartą pracą wiele dokonałi: wielkie miasta, wzorowe farmy, wspaniałe drogi, wreszcie przemysł. Wszystko tu przychodzi trudniej aniżeli w Stanach Zjednoczonych — mniej ludzi, mniej pieniędzy, mniej szarych rozmach; daje się też we znaki zależność — od londyńskiej City czy nowojorskiej Wall-Street.

Przed dwustu laty na ziemi tej rozgrywały się zaciekłe walki pomiędzy Anglikami i Francuzami. Francuzi odkryli Kanadę, ale Londyn postanowił „odkryć” ją na nowo; w ten sposób Anglia uzyskała jeszcze jedną kolonię. Zaczęła się skryta walka pomiędzy Anglikami i Francuzami w samej Kanadzie. Walka ta trwa po dziś dzień. Amerykanom udało się zasymilować wszystkich imigrantów, ale Anglicy nie potrafili zanglizować Francuzów w Kanadzie. Cztery miliony Francuzów żarliwie bronią swego języka, swoich obyczajów. Walka o prawa narodowe zrobiła z nich konserwatyistów — usiłują odgrodzić się od postępu tylko dlatego, że pochodzi on od Anglików, którzy głoszą go w języku angielskim.

Wedle konstytucji obowiązują w Kanadzie dwa języki państwowe i teoretycznie oba są równouprawnione. W rzeczywistości w stolicy Kanady, Ottawie, mówi się tylko po angielsku. Na przyjęciu urządzonym przez Biuro Informacji, w którym wzięli udział współpracownicy ministerstwa spraw zagranicznych, tylko jeden z obecnych rozumiał po francusku. W wielu instytucjach państwowych na próżno usiłowałem porozumieć się w języku francuskim. W największym mieście Kanady — w Montrealu — trzy czwarte ludności stanowią Francuzi; ale nawet tam w wielkich sklepach, hotelach czy restauracjach mówi się po angielsku — to język tutejszej burżuazji. W sporze językowym Anglicy wysuwają jeden argument, który nie ma zresztą nic wspólnego z lingwistyką — pieniądź. Francuzi — to robotnicy i ubodzy farmerzy.

Język, jakim mówią Francuzi kanadyjscy, niewiele przypomina współczesny język francuski — jest to archaiczne narzecz pełne słów angielskich i amerykańskich; wydaje się czasami, że to bohaterki Racine'a wychodzący za mąż za młodzieńców z Broadwayu porozumiewają się ze sobą w języku ni to wandejskich szwabów, ni to angielskich maklerów.

Kiedy Francuzi kolonizowali Kanadę, założyli stowarzyszenie, które nazwało się „Compagnie des habitants” — Związek Mieszkańców. Słowo „habitant” stało się z czasem obraźliwe, bowiem tak nazywają siebie kanadyjscy Francuzi.

Francuzi zamieszkują prowincję Quebec; prowincja ta uważana jest za najbardziej reakcyjną; pragnąc bowiem zachować swoje narodowe oblicze, Francuzi czepiają się cieni przeszłości. Dla nich Francja — to ta Francja, która władała Kanadą, Francja Ludwików. W Quebec królują księża — curés, przy czym są oni nie tylko kapłanami, lecz także nauczycielami, sędziami, wychowawcami, duszpasterzami, działaczami społecznymi i politycznymi trybunami. Dla nich „Deklaracja praw obywatela” napisana jest tylko przypadkowo w języku francuskim i nie ma z Francją nic wspólnego. Cóż mówić zresztą o „Deklaracji praw”, kiedy nawet generał de Gaulle jest dla nich niebezpiecznym wolnomyślicielem. Gazety ich pełne są rozważań na temat kanonizacji świętych i... klątw na postęp. Nawet tytuły gazet są w odpowiednim stylu: „Prawo”, „Obowiązek”.

Jednakże nie mają racji Anglicy kanadyjscy, którzy uznają tylko siebie za zwolenników postępu. Francuzów zaś za — reakcjonistów. Wśród Anglików jest dostateczna ilość obywateli; nie wiem o ile lepszą są

purytanie Ontario od papistów z Quebec. Zresztą i nie wszyscy Francuzi idą bez sprzeciwu za swoimi proboszczami. Robotnicy Montrealu — Francuzi, wysłali do parlamentu najbardziej postępowego delegata. W Montrealu wystąpiłem na wielkim zebraniu, mówiłem po francusku i zebrani entuzjastycznie przyjęli moją relację o życiu w kraju radzieckim.

Walka pomiędzy Anglikami i Francuzami, ściślej mówiąc uciemnienie Francuzów — to ciężka choroba i trudno ją usunąć. Gdyby sfery rządzące Kanady chciały się zainteresować raczej belką we własnym oku niż tymi żdźbami, które starają się wypatrzeć za siódmą górą, za siódmą rzeką, utwierdziłyby prawa Francuzów, którzy stanowią jedną trzecią ludności. Pozyskałyby wtedy Francuzów dla współczesności, wiedzy i postępu.

Jeśli w Quebec czuje się często człowiek jak gdyby cofnięty w przeszłość, w Anjou lub Wandęję siedemnastego stulecia, to miasta Ontario, mimo drapaczów chmur i amerykańskich „atrakcyj”, przypominają starą angielską prowincję. Małutka rzeczka oddziela miasto Ottawę od prowincji Quebec. W Ottawie kobiety-cyklistki mogą nosić spodnie, w katolickim Quebecu jest to wzbronione; jeśli roztargnione dziewczę przejedzie przez most w zakazanym stroju, natychmiast się zatrzymuje. Ale za to mieszkaniowiec Ottawy, któremu się zachciało wypić szklaneczkę wina, musi przejechać przez rzekę, bowiem w purytańskim Ontario można pić tylko wodę.

Przeszło sto lat temu Kanadyjczycy powstałi przeciw Anglii. Powstanie zostało zgniecione, ale Londyn poszedł na ustępstwa; zacytował już rozumieć, że kolonie można nie tylko zagrabić, ale można je też utracić. Kanadyjczycy otrzymali autonomię. Jeszcze niejednym raz musieli walczyć przeciw Londynowi. Pod bokiem wyrosli nowi opiekunowie — Amerykanie. Był czas, kiedy Amerykanie usiłowali zawołać Kanadę orężem; przez trzy lata toczyły się walki z Anglikami. Wreszcie zrozumieli, że dolary są tu bardziej na miejscu niż artyleria polowa. Kanada stała się polem walki między kapitałem angielskim i amerykańskim. Trudno powiedzieć, czyją władzę odczuwa się tu dotkliwiej — wielkobrytyjskiej korony czy Wall-Street.

Niezależnie od wszystkiego Kanadyjczycy nie czują się ani Amerykanami, ani Anglikami, ani Francuzami, ale po prostu Kanadyjczykami — w walkach, w cierpieniach, w wspólnym trudzie zrodziła się świadomość narodowa. Kępuje ich czynniki zależność od wewnętrznej polityki Londynu i Waszyngtonu. Dlatego ludzie, którzy „palcami nieśmiały uczenie” odgrywają symfonie Churchillia czy oratoria amerykańskich izolacjonistów, robią wszystko, by się wydawało, że są samodzielnymi wirtuozami.

Przyjechałszy tutaj, kiedy kampania antyradziecka osiągnęła swój

punkt szczytowy. Najpierw zaprosiło nas trzech pisarzy sowieckich, „Towarzystwo Przyjaźni Kanadyjsko-Radzieckiej”. Obywatele Toronto i Montrealu przyjęli nas gorąco, naprawdę po przyjacielsku. Nie mogłem tego powiedzieć o wielu dziennikarzach, którzy przepisywali artykułiki Hearsta i protestowali przeciw naszemu tu przybyciu. Przedstawiciele prasy zapytywali nas, co myślimy o „procesach szpiegowskich”, za których pomocą rząd usiłuje odwrócić uwagę narodu od istotnych trudności. Myśmy znów mówili, że nie rozumiemy, jaką korzyść może mieć Kanada z tego, że zajmuje się antysowiecką prowokacją. Oskarżano nas tedy o to, że „mieszmamy się do spraw kanadyjskich”. Jeśli się nie odpowie na pytania dziennikarzy, wołają, że „nie mamy odwagi wyrazić swego zdania”, że jesteśmy „niewolnikami”, a jeśli się odpowie, natychmiast krzyczą — „mieszają się...”. Zresztą Bóg z nimi, z tymi dziennikarzami — to partykularz, tak czy owak nie dorównają oni Amerykanom!

Państwowe Biuro Informacji zaprosiło nas, byśmy zwiedzili stolicę Kanady — Ottawę. Wyjaśniono nam przy tym, że będąc gośćmi rządu, nie powinniśmy występować publicznie. Uznałem to za wzruszający dowód troski o gości — w Stanach Zjednoczonych musieliśmy występować często i czuliśmy się zmęczeni. Bardzo wymowne wydaje mi się co innego: wręczono nam program naszego pobytu w Ottawie. To znamienisty dokument, jeden z punktów brzmi: „Rankiem spacer po sklepach. Po obiedzie wizyta w ambasadzie sowieckiej”. Kiedy wyraziłem odcnotę zwiedzenia Quebecu, oświadczone mi, że w Quebecu nie ma ani jednego wolnego pokoju...

Na wołowej skórze nie spisałym tych nieprzyjemności. Przypuśćmy, że taki jest zwyczaj w tym kraju, żeby zapraszać pisarzy zagranicznych do zwiedzenia sklepów galanteryjnych i dokładnie wyznaczać, kiedy cudzoziemiec może zajść do ambasad swego państwa. Przypuśćmy dalej, że obyczaj kraju każe, aby zapraszając gości stawić im warunek: „przyjdźcie, posiedzicie, pomilczycie”. Przypuśćmy w końcu, że Quebec (choć tam wojny nie widziano) jest jaskrawym przykładem kryzysu mieszkaniowego. Niech ich tam... Jakoś to przeżyją, że nie byłem w Quebecu. Nieładnie tylko, że ludzie, którzy tak postępują, prawia moralny inny. Poza tym nie ma dnia, żeby w gazetach kanadyjskich nie było artykułu o „prześladowaniach zagranicznych dziennikarzy w Związku Radzieckim”. Przypominam sobie, że w Moskwie spotykałem dziennikarza kanadyjskiego p. Davisa; nikt mu nie mówił, kiedy ma pójść do sklepu, kiedy do ambasad kanadyjskiej, a pokój dla niego też się znalazł. A przecież byliśmy gośćmi rządu kanadyjskiego...

Sądzę, że ta osobliwa gościnność pozostaje w związku z pewnymi przykrymi zajściami: organizatorzy kampanii antyradzieckiej byli roz-

goryczeni przyjęciem, jakie nam zgotowali Kanadyjczycy. Widzieliśmy prostych ludzi, którzy szczerze pragną przyjaźni z nami. A ludzie, którzy zajmują różne odpowiedzialne stanowiska, bez ustanku szkalują Związek Radziecki. Tak zwane „procesy szpiegowskie” przyczyniły się nie tylko do rozpadnięcia organizacji robotniczych, lecz także do prób wskrzeszenia planów norymberskich zbrodniarzy.

W r. 1916 widziałem we Francji wojska kanadyjskie; zajmowały one jeden z najtrudniejszych odcinków frontu. Miejsce to było niebezpieczne, ale zaszczytne. W r. 1945 Kanadyjczycy znaleźli się znowu w samym piekle — nad Skaldą; to było także niebezpieczne, ale i zaszczytne miejsce. Teraz Kanada znalazła się na czołe kampanii antyradzieckiej. Mogę tylko powiedzieć, że to również miejsce niebezpieczne, chociaż wcale nie zaszczytne.

Procesy i związana z nimi kampania antysowiecka mają na celu odwrócenie uwagi przeciętnego Kanadyjczyka od realnych trudności: różnie drożyzna, dzień w dzień wzbuchają strejki, różnie ilość bezrobotnych. A przecież wydaje mi się, że nie chodzi tu tylko o wewnętrzne trudności. Można mi zarzucić sceptycyzm, ale nie wierzę, żeby Australijczycy mieli stworzyć nowe prawo międzynarodowe, albo że Drew nie dają spokoju cienie norymberskich „krzyżaków”. Jeśli Ottawa otworzyła ogień na Moskwę, to nie dlatego, że jest usposobiona wojowniczo...

Ma się rozumieć, wszystko pójdzie w niepamięć i artykuliki w „Globe and Mail”, i Drew, i procesy. Słoń nie ma czasu, by zwracać na to uwagę — a kundle same się zmęczą. Szkoda tylko, że wprowadzono w błąd tylu porządnymi i uczciwymi ludźmi. Spotykałem tu ludzi wierzących szczerze, że na biegunie lada dzień zacznie się wojna i że Kanada stanie się gigantycznym polem walki.

Ratunkiem dla Kanady może być jedno — prawdziwa niezależność duchowa i rozwój młodej, niedojrzałej jeszcze kanadyjskiej kultury. Trzeba też rozstrzygnąć konflikt narodowościowy. Jedną z lepszych książek w nowej kanadyjskiej literaturze — „Marie Chapdelaine” — została napisana po francusku. Przekład tej powieści na język angielski przyczynił się do umocnienia poczucia narodowego. Istnieje nie tylko kraj zwany Kanadą, istnieje też naród kanadyjski. Materialnie wiedzie mu się nieźle, ale duchowo jest jeszcze bardzo młody. Przeczytałem parę książek kanadyjskich autorów, widziałem obrazy tutejszych malarzy. Wszystko to — to dopiero początki. Zamiast występować w roli duchowych służalców reakcji i udzielać nauk narodowi radzieckiemu, trzeba budować własną kulturę, tak jak „habitants” budowali pierwsze domy. W tym tkwi podstawa życia i gwarancja szczęścia prawdziwego, a nie tylko na pokaz.

Ilia Erenburg
przełożyła Zofia Marynowicz

przełożył SEWERYN POLLAK

ORFEUSZ I EURYDYKA

Orfeusz:
Poza sobą krok twój słyszę,
Słyszę, słyszę lekki krok,
W życie ciężką buntowniczą
Podążamy poprzez mrok.

Eurydyka:
Ty prowadzisz, ja uległa
Muszę, muszę dążyć wprzód,
Lecz na oczach czerń mi legła;
Czarnej śmierci mrok ją splółł.

Orfeusz:
Wyżej, wyżej! tyle stopni,
Znowu w dźwięki, w słońce, w blask,
Tam sprzed oczu cień usiąpł,
Tam, gdzie czeka miłość nas!

Eurydyka:
Nie śmiem, nie śmiem, choć strwożonej
Tyś przyjaciel, mąż i brat,
Lekkim cieniem jeno wionę,
Cień prowadzisz znowu na świat.

Orfeusz:
Wierz, wierz mi, już u proga
Wiosnę spotkasz jak i mnie!
Jeśli zaklął lirą boga,
Pieśnią życie w ciebie tchnę.

Eurydyka:
Kto zna ciszy tajną mowę,
Cóż dla niego znaczy śnieg!
Wiosna cóż — sfodelowej
Kto krainy widział siew.

Eurydyka:
Biedny bracie, szczęście pomnę,
Miłość niby cichy sen,
Ale w śmie tej, w śmie ogromnej
Twarz twą bladą zasnuł cień...

Orfeusz:
— A więc spójrz! — I pętrzę dziko
Wstęch Orfeusz w pustki mrok.
— Eurydyko! Eurydyko! —
Cieniów jeno jęczy krok.

Na głównym dworcu kolejowym w Jeleniej Górze odbywa się kontrola podróży bagażu, jeżeli rozmiarami, wagą bądź wyglądem wzbudzają wątpliwości. Albowiem szabrownictwo wciąż trwa, a pociągi są przepełnione i łatwo można „na oko” poznać szabrującego osobnika.

Ponieważ nasza waliza mieści w sobie rzeczy dla trzech osób, idzie do kontroli. Bagażowy przenosi ją do osobnej izby w gmachu dworca.

Komendant milicji, porucznik, sprawdza zawartość walizy. Potem wydobywa z niej książkę i długo ją przegląda.

— Podejrzana? — pytam po kilku minutach.

— Nie wolno przejrzeć? — odpowiada porucznik.

Wolno. Kontroler na dobre zapomniał się i zatopił w książce. Jakaś kobiecina pochlipuje, bo zabrano jej dwie paczki. Milicjanci i kilku podróżnych czekają obok dalszych bagaży.

— Czy nie pożyczylby mi pan tej książki? — mówi nareszcie komendant. Zwróć ją na pewno i prędko.

Przedstawia się i nalega. Prosi o adres. Odprowadza uprzejmie do wagonu.

Książka została w Jeleniej Górze. Rekomendujemy żarliwego czytelnika książek, pozbawionego lektury, bardzo aktywnemu Klubowi Literackiemu w Jeleniej Górze.

STUDENCI

Mam młodego przyjaciela, który studiuje medycynę. Na pierwszym roku obowiązuje egzamin z fizyki i chemii organicznej i nieorganicznej. Skrypty do każdego z tych przedmiotów kosztują po 250 zł., podręczniki są odpowiednio droższe. Tak np. podręcznik Smith-Kendall kosztuje 1800 zł., anatomia Bochenka 2500, atlas anatomiczny od 2000 zł. wwyż.

Stypendia udzielane studentom wynoszą na pierwszym roku 500 zł miesięcznie, na późniejszych 1000 zł miesięcznie. Radzą więc sobie studenci, jak mogą. Mój młody przyjaciel sypia nocą w jakimś zakładzie przemysłowym, pilnując go przed okradaniem, inni zsympują węgiel do piwnic, noszą pakunki ze stacji kolejowej, sprzedają gazety itd.

Studentów w złych lub bardzo trudnych warunkach materialnych jest na wydziale lekarskim dużo.

GLOSSA Z PYTAJNIKIEM

Lekarz żydowski dr Gross skazany został przez Specjalny Sąd Karny w Krakowie na karę śmierci za rozbicie żydowskim współwzięciem w obozie koncentracyjnym w Płaszowie zastrzyków benzyny, które powodowały śmierć.

W „Tygodniku Powszechnym” J. P. wyraża (słusznie) zdawolenie z uzasadnienia wyroku, w którym powiedziano m. i., że „oskarżony złamał nie tylko prawa przewidziane ustawami i kodeksem, ale prawa obowiązujące ludzkość, których nikomu nie wolno podstępować, choćby nawet władze tego czy innego państwa polecały dokonać czynów sprzecznych z tymi prawami naturalnymi”.

W związku z tym pisze J. P.:
„Jest to bardzo cenne oświadczenie. Doskonale odpowiada nauce Kościoła katolickiego o prawie moralnym natury. Kościół uczy, że całą ludzkość obowiązują pewne normy moralne, które wynikają z natury ludzkiej, i że tych praw nigdy nie wolno przekroczyć” (podkreślenie nasze).

Kościół uczy dobrze. Nie osiąga w tym jednak należytego skutku i niepokojące jest nie tylko to, że popełnane są zbrodnie, klójące się jasrawo z prawem natury, lecz także to, że nie wywołują one reakcji i to spontanicznej na samą wiadomość o przestępstwie.

Wspominaliśmy niedawno o zamordowaniu pod lasem, niedaleko Łodzi 17-letniej bezbronnej dziewczyny, której jedyną winą było, iż zdradzała żydowskie pochodzenie. Wywleczona z autu, została zamordowana przez bandytów. Nie czytaliśmy w „Tygodniku Powszechnym” nic ani o tym, ani o wielu podobnych wypadkach i dopiero trzeba było pogromu w Kielcach, aby czasopismo zabrało głos.

Więc nauka Kościoła nie zwyciężyła jeszcze w wielu sercach, albowiem trzeba rozumieć, iż nie wystarczy bierna świadomość, że „cała ludzkość obowiązują pewne normy moralne”, lecz należy wymagać czynnej postawy wobec każdego przejawu sprzecznego z moralnością.

Zachwalac i glosic „odwrót od relatywizmu moralnego a powrót do starej kultury europejskiej” w słowach, a nie realizować uważnie w czynach, nie wiele ma wspólnego z postawą ewangeliczną.

Co o tym myśli (x) J. P.?

js

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

Notatki angielskie

Londyn, we wrześniu 1946 r.

Młody kapitan Noel Baker, poseł z ramienia Partii Pracy do parlamentu angielskiego, wybrał się w krótką, bardzo awanturyczną, bo nielegalną podróż do Hiszpanii. Celem tej podróży było nawiązanie kontaktu z przywódcami tamtejszej opozycji i stwierdzenie na miejscu, jaką przedstawia ona siłę i jak w Hiszpanii naprawdę wygląda życie.

W krótkim sprawozdaniu, które ogłosił po powrocie, Noel Baker mało mówi rzeczy nowych, potwierdza raczej rzeczy znane: jak to, że lojalność generałów wobec „generalissima“ wzrasta, gdy Anglia czy Ameryka dają do zrozumienia, że nie mają zamiaru go usunąć, a zmniejsza się, gdy do kraju docierają wieści, że dni władzy generała Franco są policzone.

„Prestige Anglii w Hiszpanii słabnie, natomiast Rosja cieszy się w całym kraju wielką sympatią wśród republikanów“, przy czym — stwierdza Noel Baker — „polityka angielska i tu, podobnie jak w Grecji, zmusza ludność do rozpaczyliwych decyzji“.

„Głód i terror“ — oto obraz życia w Hiszpanii. Barker interesował się, jakie konsekwencje polityczne miałyby tu ewentualna blokada angielska i doszedł do przekonania, że ludność Hiszpanii zgodziłaby się cierpieć jeszcze większe niż obecnie braki, gdyby jej to miało przynieść oswobodzenie.

Anglia uważa blokadę i presję ekonomiczną za jedną z najlepszych broni, toteż stosuje ją tylko w wypadku, gdy może służyć jej własnym, konkretnym celom.

Zastosowanie tej broni wobec Hiszpanii byłoby słuszne, gdyby miało szybko doprowadzić do poprawy losu ludności — byłoby jednak nie do wybaczenia, gdyby Anglia miała na oku tylko swoje własne, doraźne cele.

Książki o Hiszpanii ambasadorów, angielskiego i amerykańskiego, które ukazały się przed paru miesiącami, ilustrują najlepiej znaczenie tej ekonomicznej broni dla Anglii.

*

Wicehrabia Templewood, czyli Samuel Hoare, pochodzi z rodziny bankierskiej, choć, jak pisze w swej biografii, ani on sam, ani jego ojciec nie byli już bankierami; przerzucili się na politykę.

Templewood szybko tracił zainteresowanie dla rozpoczętych prac i nie doprowadziwszy ich do końca, przenoślił się z ministerstwa do ministerstwa, przy czym, jak się sam zwierza, główną cechą jego charakteru była niechęć do krącości, a raczej skłonność do zatwierdzania każdej sprawy kompromisowo.

Usunięty razem z rządem Chamberlaina w 1940 r., po niemieckich sukcesach we Francji i Norwegii (moment był rzeczywiście mało odpowiedni na kompromisy), Templewood czuł się nieszczerze bez pracy, dotychczasowych możliwości podróżowania i możliwości służenia własnemu krajowi w charakterze zawodowego polityka. Dłuższy czas kreślił się bez zajęcia zatrudniając ministrów, aż wreszcie skorzystał z nadarzającej się okazji wyjazdu do Hiszpanii w roli ambasadora. Jadąc tam liczył na to, że dyktator przyjmie go przychylnie, gdyż swego czasu popierał wniosek o nieinterwencję (lewica w Hiszpanii uległa, gdy nie da się jej pomocy), przyczynił się do jego zwycięstwa.

Wybór więc Templewooda na ambasadora przy rządzie hiszpańskim nie był przypadkowy.

Przywitały go demonstracje ludności żądającej powrotu Gibraltaru

do Hiszpanii, o czym także wspomina w swej książce ambasador amerykański, przyjęty przez ludność Madrytu z entuzjazmem. Zachowanie się ludności wobec ambasadora amerykańskiego wyglądało na przejaw nastrojów antyangielskich, opartych zresztą na szczerym przekonaniu, co umiał wykorzystać rząd. Uczucia te są zupełnie zrozumiałe, gdy się zważy, że Gibraltaru, część ziemi hiszpańskiej, jest obecnie kolonią angielską, znajdującą się nie w krajach zamorskich, ale w samej Europie. Potomkowie Hiszpanów zbiegłych przed okupacją angielską, którzy żyją w najbliższych okolicach Gibraltaru, chodzą tam do pracy (dla angielskiego wojska) za przepustkami i są rewidowani rano, gdy wchodzi na teren kolonii, i wieczór po skończonej pracy. W Gibraltarze nie wolno im nocować. W takiej sytuacji ludność rzadko kieruje się rozumem i względami politycznymi, jakich wymaga chwila, raczej kieruje się uczuciem. Toteż łatwo było Falandze podsycić wrogie nastroje i wywołać demonstracje antyangielskie, tym bardziej, że Anglia nie miała zwolenników nie tylko wśród „falangistów“, którym pomogła zwyciężyć, ale także nie cieszyła się sympatią ludności, przekonanej, że to Wielka Brytania wydała ją na łup soldateski generała Franco. Wykorzystała to Falanga urządzając przybywającemu Templewoodowi kocią muzykę pod ambasadą i demonstracje uliczne.

Templewood nie miał złych warunków pracy. Jego przeciwnik w grze, jak go sam opisuje, jest głupawy, niezrozumiały, o wyglądzie korpulentnego mieszczaucha, z manierami prowincjonalnego lekarza mającego powodzenie wśród mieszczanstwa. Chciał zwycięstwa Niemiec, i to szczerze, ale równocześnie obawiał się ich przyniatającego zwycięstwa. Dlatego był raczej zwolennikiem porozumienia między Anglią, Ameryką i Niemcami i zawarł przez nich układ, który ułatwiłby mu zdobycie silnej pozycji w Europie. „Hiszpania nie była zdolna do walki, — pisze Templewood — około miliona Hiszpanów poległo w czasie wojny domowej, kraj był zniszczony, rolnictwo, przemysł w stanie dezorganizacji, a ludność odczuwała wielkie braki“. Chodziło więc generałowi Franco o to, aby przystąpić do wojny wtedy, gdy działania wojenne będą dobiegały końca. „Nie wątpił, że Niemcy zwyciężą. Chodziło tylko o to, kiedy zwyciężą i kiedy nastąpi najodpowiedniejsza dla Hiszpanii chwila przystąpienia do wojny, co uprawniałoby ją do wzięcia udziału w tryumfalnym pochodzie zwycięzców“. Gibraltaru i udział w panowaniu nad Północną Afryką mógł Franco zdobyć, jak stwierdza Templewood, jedynie wtedy, gdyby Anglia poniosła klęskę. Podobne jednak ambicje, ekspansji w Północnej Afryce i kontroli nad morzem Śródziemnym, zdradzali dwaj pozostali dyktatorzy, którzy „nie chcieli zrezygnować ze swych planów, zwłaszcza na rzecz kraju wstrzymującego się od wzięcia na siebie ciężaru wojny“ i którzy tak byli zazdrośni o wpływy, że aby „nie ograniczyć własnych ambicji, godzili się raczej na pominięcie okazji narażenia Aliantów na niepowetowane straty“. To właśnie chroniło Gibraltaru i Afrykę Północną przed atakiem niemieckim. Templewood wyznaje, że Anglia nie potrafiłaby ich wtedy obronić — marsz Niemców przez Hiszpanię na Afrykę miał szansę powodzenia, gdy Tanger był w rękach hiszpańskich, a w Maroku były wojska hiszpańskie. Rywalizacja sprawiła, że nie doszło do porozumienia między generałem Franco a Hitlerem na zjeździe w Pirenejach, gdzie, według przypuszczeń Templewooda, Franco, za cenę przystąpienia do wojny, zażądał francuskich terytoriów w Afryce Północnej. Takich żądań nie mógł uwzględnić Hitler kocietujący w owym czasie rząd Vichy. Wobec tego Franco, „nie chcąc walczyć i palić mostów za sobą, wrócił z pirenejskiego zjazdu bez afrykańskich trofeów, ale nie dał też obietnicy, że przystąpi do wojny“.

Francisco opierał się, gdy chciano go wciągnąć do akcji, a gdy bliski był decyzji „tryumfy niemieckie były tak

wielkie, że ewentualna pomoc Hiszpanii przestawała mieć znaczenie“.

Od ostatecznej decyzji wstrzymało go skompromitowanie się Włochów — „porażki włoskie w Grecji były ostrzeżeniem dla optymistów, że wojna się już skończyła“.

„Jak długo duet ten występował przy fortepianie, tak długo byliśmy bezpieczni“ — stwierdza Templewood, ale sytuacja była wciąż niepewna i mimo wzajemnych zazdrości i ambicji, pozostawienie Hitlera i Franco samym sobie mogło w końcu doprowadzić do porozumienia i opowiedzenia się Hiszpanii po stronie „osi“, tak niebezpiecznego dla Anglii. Nie dopuścić do tego było właśnie zadaniem Templewooda.

Templewood, zabierając się do dzieła, żąda przede wszystkim dużej sumy na propagandę i rozwinięcie handlu z Hiszpanią. Następnie wynajmuje dla ambasady angielskiej dom przylegający do ambasady niemieckiej. Gdy Niemcy są u szczytu powodzeń, gdy po mieście krąży wieści, że wojska niemieckie przekraczają Pireneje, a w Anglii panuje zwątpienie i rozpacz, Templewood rozgrywa na korcie partii tenisa. Templewood obiera w walce trzy rodzaje broni. Pierwszy to poza — okazywanie na zewnątrz bezwzględnej wiary w ostateczne zwycięstwo sprzymierzonych, drugi — to propaganda, i wreszcie — uzależnienie ekonomiczne.

W pierwszej osobistej rozmowie z gen. Franco stara się zwrócić jego uwagę na potrzeby gospodarce Hiszpanii. Otrzymuje wtedy twardą odpowiedź, że Hiszpania nie potrzebuje niczego od Anglii, gdyż chce importować jedynie z Afryki Północnej. Kategoryczna odpowiedź uniemożliwia na jakiś czas dalszą dyskusję. Franco mógł to powiedzieć z tym większą pewnością siebie, że, jak stwierdza to sam Templewood, Anglia jest rzeczywiście niepopularna w Hiszpanii, choć „na dziesięciu ludzi dziewięciu nie chce wojny z Aliantami“.

Templewood bierze następnie udział w wielkiej paradzie wojskowej w Madrycie, podczas której witają generała Franco okrzyki „Gibraltaru jest hiszpański“. Uważając je za demonstrację antyangielską Templewood opuszcza trybunę.

Walkę tę ułatwia mu w dużej mierze przyjaźń z ministrem spraw zagranicznych, który zdradza wyraźnie proangielskie sympatie. Wkrótce jednak rząd go usuwa i oskarża publicznie, że jest przekupiony przez Anglię i służy jej celom. Templewood opisuje także, jak ten eksminister zaprosił go potem do siebie, udzielając mu poufnie tajnej i niezwykle ważnej wiadomości o ruchach floty francuskiej, działającej przeciw Anglii. Po nim ministrem spraw zagranicznych został zdecydowanie antyangielski falangista — szwagier generała Franco, prawa jego ręki, kierujący także prasą, policją i ministerstwem spraw wewnętrznych, nieprzejednany wróg Anglii.

Mimo wielu trudności, Templewood, dzięki cierpliwej i wyteżonej pracy, stworzył takie warunki, w których ewentualne „zerwanie stosunków hiszpańsko-angielskich naraziłoby na straty handel i przemysł hiszpański“ i doprowadził do podpisania nowej, dodatkowej umowy handlowej. W swojej polityce nie zбочył z raz obranej linii twierdząc, że „ze wzrostem wymiany gospodarczej, wzrósł też polityczny i militarny prestiż Anglii“. Tak zresztą zawsze bywało w historii, że za handlem, który torował drogę, szła angielska bandera

wojenna. W roku 1940 bandera ta nie mogła zrobić wrażenia na Hiszpanii.

Aby uniknąć głodu, Hiszpania musiała sprowadzić milion ton zboża; jej zapasy kauczuku, bawełny i benzyny były już tak wyczerpane, że bez anglo-amerykańskiej pomocy musiałyby stanąć przemysł i komunikacja. Zdawał sobie z tego sprawę nie tylko rząd, ale każdy przeciętny obywatel hiszpański.

„Mimo to — pisze Templewood — Franco nie chciał uznać tych potrzeb, a minister spraw zagranicznych, Serrano Suner, robił wszystko, co było w jego mocy, aby nie dopuścić do układów gospodarczych z Anglią, choć było wiadome, że dzięki nim Hiszpania będzie mogła zaspokoić swe najpilniejsze potrzeby“.

Wtedy Ameryka wysłała okręt z żywnością dla poratowania ludności, wysłała ją również angielski Czerwony Krzyż. Tej pomocy nie może odmówić Hiszpania, ale prasa o tym milczy, a żywność rozdzielają falangiści między siebie. Wkrótce potem gen. Franco w publicznym przemówieniu odrzuca pomoc angielską. Nazajutrz, po podburzającym przemówieniu ministra spraw zagranicznych, ludność demonstruje przed ambasadą angielską paląc angielskie auta i wybijając szyby.

Ale Templewood tym się nie zraża i nadal dąży do celu, który wreszcie osiąga. Przychodzi mu w tym z pomocą minister handlu, Cancellor (najmniejsza postać hiszpańskiego faszyzmu, człowiek na faszyzmie wzbogacony i wciąż się jeszcze bogacący), który po rozmowie z Templewoodem prosi oficjalnie Anglię o kredyty i dostawy, choć został ministrem dlatego, że był zwolennikiem samowystarczalności Hiszpanii. W liście do Churchilla Templewood pisze, że czyta właśnie historię wojny Hiszpanii z Napoleonem i że niektóre rozdziały tej książki przypominają mu do złudzenia jego własne doświadczenia w tym kraju.

W książce Templewooda spotykamy rozdział o „Przekupstwie urzędników hiszpańskich“. Templewood rozważał też możliwość blokady, ale doszedł do przekonania, że załamanie się gospodarki hiszpańskiej dałoby broń w ręce Niemców. Blokada jest nadal ewentualną bronią Anglii, tym skuteczniejszą, im zależność ekonomiczna Hiszpanii od Wielkiej Brytanii jest większa.

Z chwilą zakończenia wojny neutralność Hiszpanii straciła swoje znaczenie, toteż Templewood pisze do Londynu o przyłączeniu się do opozycji przeciwko generałowi Franco.

Bronią, którą, jego zdaniem, może wstrząsnąć w posadach władzę Franco, jest wstrzymanie dostaw, zwłaszcza benzyny i kauczuku. „Rok temu — pisze — odpowiedź na to pytanie byłaby względnie łatwa, ryzyko zbyt wielkie. Tak silne uderzenie angielskiego ekonomicznego młota mogłoby wywołać wśród Hiszpanów niebezpieczną dla nas reakcję. Ale nasze sukcesy wojskowe zmieniły całkowicie sytuację i dziś możemy sobie pozwolić na ryzyko“.

Anglia jednak na to ryzyko się nie zdobyła. Mówiąc o odpowiedzi Churchilla na znany list generała Franco, odpowiedzi, która nie zrobiła na hiszpańskim dyktatorze żadnego wrażenia, Templewood pisze: „był zupełnie spokojny o swą przyszłość, przekonany, że to Anglia potrzebuje Hiszpanii, a nie Hiszpania Anglii“.

Bogusław Kuczyński

WYBRZEŻE

Polskie wybrzeże liczy z górą pół tysiąca kilometrów. Na każdego mieszkańca Polski przypada obecnie dziesięciokrotnie dłuższy odcinek wybrzeża morskiego niż dawniej. Mamy trzy porty pierwszej klasy: Gdynię, Gdańsk i Szczecin oraz kilkanaście portów drugiej i trzeciej klasy: Swinoujście, Kamiień, Wolin, Kołobrzeg, Derłowo, Ustkę, Lebę, Władysławowo, Puck, Jastarnię, Hel, Elbląg, Łysą Górę, Tolkmicko, Fromborg, Passarge.

Obrót towarowy Gdyni, Gdańska i Szczecina wynosił przed wojną 25 milionów ton. Gdy porty zostaną uporządkowane a kraj zagospodarowany, dojdziemy znowu do tej pozycji a nawet ją przekroczyliśmy.

Zniszczenia są bardzo wielkie. W Gdyni uległo zniszczeniu 3200 m falochronu żelazobetonowego i 70 tysięcy m powierzchni magazynów portowych. Urządzenia mechaniczne chłodni portowej, tuszczarni ryżu, olejarni, elewatorów zbożowych zdemolowano lub wywieziono. W Gdańsku z 270 tysięcy m magazynów pozostało 20 tysięcy m, w ruinie są 2/3 pojemności spichrzów zbożowych, chłodnie, zbiorniki ropne, magazyny śledziowe, linie kolejowe, sygnalizacja, wiadukty, stocznie, urządzenia kanalizacyjne; przepadł cały pływający tabor portowy. Centrum Gdańska i Szczecina nie istnieje, w większości miast i osiedli nadmorskich — gruzy.

Straty Gdańska oceniono na 120 milionów dolarów przedwojennych, Gdyni na 30 milionów dolarów, Elbląga na 15 milionów, Szczecina i Kołobrzega na 70, rybaków i rybolóstwa morskiego na 6. Straty na całym wybrzeżu (bez mienia prywatnego i floty) wynoszą 300 milionów dolarów, co oznacza równowartość pracy 100 tysięcy ludzi w ciągu 10 lat. Przepadło kilkadziesiąt ługów i trawlerów, 600 kutrów motorowych, 4500 łodzi żaglowych i wiosłowych i cały niemal sprzęt rybolóstwa morskiego został zniszczony.

Odbudowa urządzeń wybrzeża i rozwój polityki morskiej odbywać się będzie zgodnie z tzw. małym i wielkim programem morskim. Pierwszy zdąży do osiągnięcia najrychlej i najtaniej maksymalnego przeładunku węgla eksportowego i importu rudy żelaznej oraz dostaw UN-RRR. W połowie 1945 r. porty w Gdyni i Gdańsku były już czynne, a z końcem roku program doraźny był zrealizowany. Przy odbudowie było zatrudnionych 12 tysięcy pracowników fizycznych i umysłowych, a zdolność przeładunkowa portów stale wzrastała.

Wielki program ma powiązać organicznie polskie zaplecze z morzem i przekształcić Polskę — w państwo morskie. Wymaga to rozbudowy systemu dróg wodnych i stworzenia wielkiej arterii komunikacyjnej między północną i zachodnią a południową i wschodnią Europą oraz odpowiedniej przebudowy i rozbudowy dróg lądowych. Szczecin spełniać powinien rolę wylotowego portu całego dorzecza Odry i Warty, a ośrodkiem naszej polityki morskiej winny zostać Gdynia i Gdańsk. Szczecin już obecnie jest portem eksportowym dla węgla, koksu, wyrobów hutniczych i metalurgicznych oraz tranzytowym dla Czechosłowacji. Gdynia i Gdańsk są przede wszystkim portami wyladunkowymi dla bawełny, wety, fosforytów, maszyn i zwierząt hodowlanych.

Z fundamentalnych prac najważniejszą jest przekopanie kanałów na mierzei elbląskiej, które ożywią cztery porty rybne w zatoce elbląskiej, i przekopanie kanału u podnóża portu helskiego we Władysławowie; kanał ten ożywi zatokę pucką. Obok gotowego kanału wodnego Gliwice—Kozłe i uregulowanej Odry niezbędne są: regulacja Wisły i jej dopływów, kanał Opole—Prona—Bydgoszcz—Wisła i kanał Odra—Raciborz—Morawska Ostrawa—Dunaj. Pierwszy skraca drogę do morza, Odra—Szczecin, o 100 km, drugi otwiera widoki gospodarczej ekspansji w środkowej Europie. Regulacja Wisły jest warunkiem postępu gospodarczego całego dorzecza Wisły i postulatem narodowego honoru: Wisła była bowiem dotąd pojęciem z dziedziny geografii fizycznej i hydrografii, a musi się stać wreszcie pojęciem komunikacyjnym i to w sensie centralnego szlaku wodnego.

O układzie linii kolejowych Polski zdecydowały potrzeby ekonomiczne i strategiczne zaborców. W przyszłości muszą one stać się organicznym systemem transportowym. Zagłębie śląsko-dąbrowskie, okręgi przemysłowe Łodzi i Warszawy, Białegostoku, dawnego COPu, Lublina i Krakowa muszą mieć tani i łatwy dostęp do morza. (Źródło: Eugeniusz Kwieciński, „Budujemy nową Polskę nad Bałtykiem“).

Zaprenumerować

„ODRODZENIE“

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

Nowości wydawnicze

Nowości wydawnicze

ADOLF RUDNICKI
WRZESIEŃ

Cena zł. 35.—

Tęż autor:

CZYSTY NURT • KOŃ • MIR HUBERT Z ARMII ANDERSA • JÓZEFÓW

„Książka“

249

TADEUSZ PEIPER

Oczy czarne czy niebieskie ma Dianna?

I

Gdyby tu chodziło tylko o barwę dziewczęcych oczu. Ale z tą barwą łączy się ważne kwestie jednego z najświetniejszych utworów literatury i teatru, i od tej barwy zależy sąd o Słowackim!!

Rozmawiając ze swym powiernikiem, mówi Fantazy o Diannie, że czarne jej oczy zapatrzone są w mogiły Sybiru, ona zaś sama, gdy Fantazy oświadcza się jej w sposób dla niej obraźliwy, mówi o szafirze swych oczu. Raz więc oczy jej nazwane są czarnymi, drugi raz szafirowymi.

Prof. Kleinerowi służy ta różnica do wypowiedzenia ogólnego sądu, że „wyobraźnia Słowackiego nie chwytala z łatwością fizjonomii“, a prof. Kołaczkowski bierze tę różnicę za „przeoczenie“, pochodzące z ogólnych braków wyobraźni Słowackiego, który jakoby „nie przedstawiał sobie wyraziście wszystkich szczegółów“. Oba sądy zachwycają podstawowymi darami, jakie łaska natury składa w osobowość wielkich poetów, i oba krzywdzą poetę genialnego, a krzywdząc, czynią go nam mniej jasnym.

Oba sądy są błędne. Na szczęście błędy ich nie są z rzędu rozbijających.

Zanim to się okaże, weźmy z „Fantazy“ kilka innych niezgodności.

II

Jan śpiewa samemu sobie pieśń zesłańców; poznajemy dwie strofy, obie mają refren na którego treść składa się krótka wymiana słów między zesłańcem a strażnikiem:

- Kto idzie?
- Swój.
- Ty mój?
- Ja nie wasz!

Refren nie brzmi jednak w obu strofach identycznie; z wyjątkiem pierwszego pytania, które w obu strofach występuje po rosyjsku, inne słowa dialogu pojawiają się w pierwszej strofie po polsku, w drugiej po rosyjsku. A przecie refren ten, który jest dialogiem wewnętrznym, powinien mieć w swym języku psychologiczną konsekwencję.

Skoro jest inaczej, to w tym wypadku na pewno wykluczone jest „przeoczenie“; zmiany w refrenie nie mogą być nieświadome, nie mogą być przypadkowe, muszą mieć jakąś przyczynę dobrze autorowi znaną. Narzuca się przypuszczenie, że autor nie był zdecydowany, czy jego polski zesłańca ma przeżywać wewnętrzną dialog z rosyjskim strażnikiem w języku polskim czy rosyjskim.

Rozumiemy to niezdecydowanie bo dotyczy ono sprawy bardzo istotnej psychologicznie i dramatycznie. Jan spędził dziesięć lat na zesłaniu, gdzie zaprzyjaźnił się z rosyjskimi dekabrystami, którzy podobnie jak on przygotowywali rewolucję przeciw caratowi i tę samą karę za to ponieśli. W takim środowisku język rosyjski stał się dla niego żałosnym wyciem wokół trumny wolności polskiej i rosyjskiej i pełnym podnień szczęściem karabinowym przyszłych wspólnych ruchów wolnościowych. Zapewne, rozważając sprawę odzyskania niepodległości Polski, zaczął nawet przyglądać się wężej wagi do rosyjskiego ruchu rewolucyjnego niż do polskiego, skoro język rosyjski nazywa językiem swej tęsknoty. Taki stosunek do tego języka mógł mieć wpływ także na język dialogów wewnętrznych, jakie wiódł ze strażnikami carskimi, tym bardziej, że był to przecie także język jego realnych stosunków z nimi. Ale od takiego rozwiązania odwołał Słowackiego potrzeba zaznaczenia głębokiej i gorącej polskości Jana. Śladem autorskich wahań jest wprowadzenie w pieśń — obu języków.

Gdyby „Fantazy“ nie był pozostał utworem niewydanym przez autora, gdyby Słowacki postanowił być opublikowanym, byłby był powziął ostateczną decyzję i przechylił się na stronę jednej lub drugiej alternatywy, na razie jednak pozostawił rzecz w zawieszaniu, oba ujęcia refrenu uważał za tymczasowe, odkładając na później wybór jednego lub drugiego i uzależniając ten wybór

od całości, jaką otrzyma od niego postać Jana.

Można wprowadzić temu twierdzeniu przeciwstawić myśl, że nie autor jest niezdecydowany, lecz pieśń lub śpiewający ją człowiek, ale coś nam o tym powiedzą analogiczne wypadki następane.

III

Major użył jednego ze swych żołnierzy do uwiezienia Idalii. Relacjonując to, co zrobił, powiada, że zadanie to poruczył Baszkirowi, lecz z tego, co mówi kilka chwil później, wynika, że Baszkira ma pod ręką. Mało tego. Fantazy, który był naocznym świadkiem porwania, mówi, że Idalię porwał nie Baszkir, lecz Kałmuk! I mówi to 20 wierszy po relacji majora! Nie dość tego. Powiernik Fantazygo, ten właśnie, któremu Fantazy zobrazował rapt jako dokonany przez Kałmuka, zamienia — przekazując wiadomość komu innemu — Kałmuka na Baszkira!! Ale i to nie wszystko. Tenże sam powiernik Fantazygo, on, który dopiero co — w poprzednim swym zdaniu!!! — podawał Baszkira za wykonawcę raptu, teraz, kilka sekund później, wykonawcę raptu widzi nie w Baszkirze, lecz w Kałmuku!!!

Kto chce uniknąć bezlitosnego wymiania, nie śmie twierdzić, że takie przeplatanie Baszkira Kałmukiem jest przeoczeniem. Nie może ulegać wątpliwości, że Słowacki był świadom tego, co zrobił. Jedyną kwestią może być tylko cel, dla którego to zrobił, a tu — już nie tak jak w refrenie pieśni zesłańców — jedynym możliwym wyjaśnieniem jest przyjęcie, że w swym nieopublikowanym utworze nie zdecydował ostatecznie, kto ma wykonać porwanie, że wszystkie miejsca nazywające tego wykonawcę miały dla niego charakter próbny tymczasowości, że definitywny wybór tego wykonawcy miał być dokonany w przyszłości, z uwzględnieniem wymogów, jakie stawiać będzie całość utworu.

Ze Słowacki mógł mieć w tej sprawie wahania, to łatwo pojąć, bo przecie pod Baszkirem ukrywa się Jan. Ileż to pokus musiało skłaniać poetę do tego, aby właśnie Janowi powierzyć misję usunięcia Idalii z pola działań, ale ileż hamulców musiało go powstrzymać od komplikowania i tak już skomplikowanej akcji. Rozważał też zapewne ujęcie, w którym wykonawcą porwania miały być jeden z Baszkirów, w których gromadzie Jan się ukrywa, ale także od tego ujęcia odwołał go wzgląd na jasność.

IV

Dowiedziawszy się, że Dianna wychodzi za mąż, wyzywa się Jan jej pierścienka, rzekomo przywłaszczając sobie bez jej wiedzy, wręcza go Stelli z prośbą o rzućcie w ogień w obecności Dianny, ale w końcowej scenie tego aktu wręcza pierścienek miejscowemu księdzu, przedstawiając inaczej sposób wejścia w jego posiadanie. W obu wypadkach chodzi o ten sam pierścienek, znak tajemnych ślubów miłosnych, jakie wzięły Diannę z Janem. Skoro Jan raz wyzywał się tego pierścienka, nie mógł wyzywać się go potem po raz drugi. W tym samym akcie, przedzielone jedną za ledwie sceną, znajdują się dwa różne a wykluczające się wzajemnie działania.

Z nieodpartą siłą narzuca się myśl, że mamy w tym wypadku dwa próbne ujęcia tego samego tematu, dwa ujęcia, z których każde miało dla autora charakter próbny tymczasowości aż do czasu, kiedy postanowienie opublikowania utworu skieruje go do ostatecznego jego wykonania.

Za jednym i drugim ujęciem przemawiały głosy kuszące, które wrażliwemu czytelnikowi dosłyszycie nie trudno.

V

Prócz niezgodności oczywistych, chciałoby się powiedzieć: zewnętrznie dostrzegalnych, są inne, które dotyczą spraw organiczności wiązań. Takie niezgodności znajdujemy w personaliach Majora.

Jego nazwisko jest ukraińskie: Hawryła, jego imię jest łotewsko-

pruskie (?): Woldemar, jego miejscem urodzenia jest Kaukaz, jako dziecko był porwany przez Czerkiesów, z pochodzenia jest Grekiem, z języka Rosjaninem. Bardzo skomplikowane personalia; tak skomplikowane, że aż — literacko rzecz biorąc — absurdalne. Bo gdyby nawet przyjąć wszystkie możliwe wędrowki jego przodków i jego samego, to i tak — z punktu widzenia logiki dzieła literackiego — dwa węzły w każdym razie związane są niedopuszczalnie. Pierwszy to węzeł, który wiąże ze sobą Greka, Hawryłę i Woldemara; powiązanie to jest — literacko biorąc — absurdem, bo jeśli grecka narodowość Majora ma mieć sens literacki, to albo jego nazwisko albo przynajmniej jego imię powinno mieć jej ślad. Drugi węzeł niedopuszczalny to takie wypowiedzi Majora o sobie jak: Jotr, oszust; nie godzą się one ani z jego przekonaniami politycznymi, ani z jego dekabrystycznymi przyjaźniami, ani z jego szlachetną rolą w dramacie; wprowadzić z kontekstu wynika, że owe wypowiedzi są żartobliwą aluzją do złej opinii, jaka prześladało nowożytnych Greków, ale w obecnym zredagowaniu są — literacko — niedorzecznością.

Genialność Słowackiego i świetność samego utworu, który w trzech czwartych czy czterech piątych sięga najwyższych szczytów sztuki dramatopisarskiej, wykluczają możliwość, aby takie absurdy i niedorzeczności mogły wejść w skrypt bez wewnętrznych zastrzeżeń autora. Skoro w skrypt weszły, nie można tego wyjaśnić czym innym jak tylko tym, że personalia Majora i jego niektóre wypowiedzi o sobie miały dla Słowackiego charakter tymczasowości, że miały być w przyszłości poddane wyborowi uzależnionemu od sposobu ustalenia całości utworu.

Z nagromadzenia rysów nie godzących się ze sobą widać, że w sprawie narodowego pochodzenia Majora umysł poetę stał przed kilku niemałymi pytaniami: czy uczynić Majora Grekiem, potomkiem wspańskiego ongiś narodu, ujarzmionego przez zaborcę, a zrywającego się do walki o niepodległość i popieranego w tej walce przez elitę Europy (Byron!), czy też uczynić go Ukraińcem, czy wreszcie mieszczkiem o złożonym składzie krwi, — i dopiero na grunt narodowościowy, w przyszłości ustalony, rzucić wpływ języka rosyjskiego i przyjaźni rosyjskich. Z niektórych wypowiedzi Majora o sobie wynika, że także w sprawie natury jego moralności stał Słowacki przed pytaniami: czy uczynić z Majora postać o wybitnie moralnych zasadach życia, czy też wprowadzić w nią rysy życiowego realizmu i jak daleko ten realizm posunąć. Nie bez związku z tym pozostaje niezdecydowane tymczasowe ujęcie jego śmierci.

VI

Do niezgodności wewnętrznych zaliczyłbym także niektóre zbyt często.

Jedną z najważniejszych: Widzę w utworze dwa próbne ujęcia pięniężnego czynnika, mającego umożliwić małżeństwo Dianny z Janem, jednym z nich jest śmierć dziadka Dianny i spadek po nim, drugim szkatuła Majora. Oba znajdują się w ostatniej scenie ostatniego aktu niemal tuż po sobie. Gdyby Słowacki był swój utwór dopracował do końca, byłby był wybrał albo jedno albo drugie, nie dlatego, że się wykluczają, lecz dlatego, że jedno z nich jest zbyt cenne.

Wybór nie był łatwy, żadne z ujęć nie jest szczęśliwe, przeciwko obu przemawiały głosy, które nie łatwo było odeprzeć.

VII

W trzech czwartych czy czterech piątych ma „Fantazy“ budowę tak ściśłą, tak misterną, tak wspaniałą (i wbrew pozorom tak nowatorską konsekwentną), że jest ona ogólnym dowodem, iż części, cząstki i cząsteczki, zawierające w sobie sprzeczność lub niezgodność, muszą być wytłumaczone ich tymczasowością.

Ba, owe części, cząstki i cząsteczki po swojemu są niezwykłym świadectwem żądzy ścisłego budowania

i metody ścisłego budowania. Skoro dopiero po ogarnięciu całego utworu wybierał Słowacki spośród szczegółów te, które na „rdziej organicznie łączyły się z resztą, to znaczy, że srogo uzależniał części od całości. Niezgodność jest tu świadectwem szukania zgodności.

VIII

Myśli, które tu wypowiadałem, zrodziły się we mnie w czasie niedawnej lektury „Fantazygo“. Ponieważ czytałem go w wydaniu popularnym, pozbawionym wariantów, sięgnąłem dla utwierdzenia się w moich myślach do najtroskliwszego z dotychczasowych wydań, wyposażonego w opis rękopisu i wszystkie odmiany tekstu, do wydania, którego stronę filologiczną opracowali Juliusz Kleiner i Jan Czubek. Cóż się okazało?

Po pierwsze: rękopis pochodzi z pierwszych faz powstawania utworu, jest zapewne pierwszą pisemną redakcją, zmienianą pierwszymi poprawkami. Od poprawek ról się w nim. Niektóre zdania poddał autor poprawkom dwukrotnym i trzykrotnym, tak że niektóre wiersze dają aż cztery rzędy słów i ciągną się nieraz przez cały ustęp. W wielu miejscach powstał chaos — powiada Czubek, — w którym trzy lub cztery redakcje są dla oka pogmatwane, a gdy z takiego chaosu trzeba wydzielić każdą redakcję z osobna, nie łatwo wyłuskać coś zgodnego nie tylko z prawami psychologii i logiki, ale nawet gramatyki. O fazie tworzenia, z jakiego pochodzi rękopis, wiele mówi fakt, że ma on w sobie przekreślone wiersze niezrównane, przekreślone skrawki dialogów, całą jedną scenę — porzuconą, nie ma zaś żadnych wskazówek co do scenicznego ruchu osób i ani w jednym miejscu osoba mówiąca nie jest nazwana. Dla dopełnienia obrazu trzeba jeszcze dodać, że karłom tego rękopisu dostało się kilka turyków wywodzących się z tematów zupełnie obcych treści „Fantazygo“. Całość świadczy ze zbiciem siły i jasności, że tekst, z jakim mamy tu do czynienia, daleki jest od ostatecznego ustalenia nie tylko w brzmieniu słów i zdań, ale nawet w ujęciu rysów ludzkich i działań.

Po drugie: są w rękopisie miejsca przekreślone, które musiały wejść w tekst książkowy, bo autor nie zastąpił ich innymi. Nie uczynił tego, bo — powiada Czubek — porzucił zamiar przerobienia ich, a tylko niczym tego nie zaznaczył. Czyż to nie uprawnia nas do przyjęcia, że mógł nie zaznaczyć także miejsc, którym przypisywał tymczasowość?

Pierwsze i drugie może służyć mi twierdzeniem za dowody pośrednie; bezpośrednim jest okoliczność trzecia: Wszystkie niezgodności utworu, którym ja na podstawie lektury przypisałem tymczasowość, potwierdzają ten swój charakter w świetle informacji o rękopisie. We wszystkich miejscach obarczonych niezgodnością ukazuje rękopis ślady poważnych wahań autora. (We wszystkich z wyjątkiem jednego, z wyjątkiem refrenu pieśni zesłańców, gdzie już pierwsza redakcja mieści w sobie owe ślady całkowite.) Proszę: Kałmuk? Próż Kałmuka kilka razy w tym samym miejscu, w którym słowo to jest napisane, pojawia się Baszkir! Personalia Majora? Otrzymują aż dwa razy jeszcze jedno nazwisko: „Hawrylicz“, a w innym miejscu jeszcze rosyjskie otczestwo: „Iwanowicz“. Szkatuła Majora? W kilku odmianach występuje sprawa sposobu, w jaki Major doszedł do pieniędzy i sprawa sposobu, w jaki szkatułę ofiarowuje. Pierścienek? W dwu odmianach mówi o nim Książd. Związek z wahaniami autora — jawny, związek z moimi twierdzeniami — jasny.

IX

A' czy Dianny? O nich szczegółowiej: Wariantów dotyczących oczu Dianny jest pięć!! Próż tego, co mamy w tekstach książkowych, jest jeszcze pięć różnych ujęć tych oczu! A są one bardziej interesujące niżby można było oczekiwać i może nie przesadzę, gdy powiem, że mają

w sobie wymowę rewelatorską. Jest w rękopisie scena, całkowicie przez Słowackiego zarzucona, w której występuje diadek Dianny; rzuca on oczy wnuczki... dwoma węglami, twarz jej... płamą ognistą, a ją samą dzieckiem... pogańskim Łapiemy tu pierwszy pomysł Słowackiego: Dianna miała być początkowo dziewczyną pogańsko ognistą i to miały wyrażać jej węglowo czarne oczy. Coś z takiej węglowości pozostało w czarnych oczach tekstów książkowych, w ich czerni, która ma w sobie żalobę miłości. Potem węgiel zmienia się w szafir. Wypowiedź o szafirze ma w rękopisie cztery warianty; jeden z nich zawiera odrębność znamiennej, bo zawiera działanie oka Fantazygo na oko Dianny; trzy inne dają do uwydatnienia myśli, jakie w tym szafirowym oku złożyła przeszłość rodowa, przy czym niebieskość ma zapewne uzewnętrzniać coś z niebiańskości. Z tego przebiegu zmań widać, że oczom Dianny poświęcił Słowacki wiele uwagi i już choćby to czyni niemożliwym, aby mogło tu zajść „przeoczenie“. Z przebiegu zmian widać także, że barwa oczu Dianny zmieniła się Słowackiemu w ciągu pisania wraz z całą postacią Dianny, co także wyklucza „przeoczenie“, a wskazuje na celowy zamiar. Z przebiegu zmian widać wreszcie, że barwa oczu Dianny wiązała się dla Słowackiego z wewnętrzną zawartością postaci; węglowość oczu wiązała się z ognistą pogańskością; czarność, którą mamy w tekstach książkowych, z żalobnością jej przezeń; szafirowość — naprzód z okiem Fantazygo, na które Dianna reaguje okiem zalawionym, potem z myślami przodków napływającymi do jej oczu. Nigdzie właściwości oka nie są tylko wytworem wzrokowej wyobraźni autora, zawsze wiążą się z wewnętrznymi sprawami postaci. Kto by mnie tu posądzał — wbrew faktom — o dowolność interpretacji, tego dodatkowo odsyłam jeszcze do wysoce charakterystycznego utworu, jaki poświęcił Słowacki Ludwice Bo-brównie. gdzie przyznaje niebieskość oczu uzależnioną jest najwyraźniej od sposobu, w jaki Ludwika patrzeć będzie na Polskę. A więc: nie przeoczenia (jak twierdzi Kołaczkowski) i nie braki wyobraźni niezdołnej do łatwego chwytania fizjonomii (jak twierdzi Kleiner), czy też niezdołnej do wyrazistego przedstawiania sobie szczegółów (jak twierdzi Kołaczkowski) — nie, nie one spowodowały różnicę w barwie oczu Dianny, i jeśli z tej różnicy wyciągać wnioski ogólne, to powinny one iść w innym kierunku niż ten, jaki obrali obaj uczeni: Słowacki w swoisty sposób wprowadzał w poezję wygląd ludzi i świata; rzeczywistość doznawaną myślami selekcjonował aktami poetyckiej władzy i te swoje selekty, przetwarzał na walory charakterowe, moralne, na wyrazy psychiki.

Faza, z jakiej pochodzi rękopis, i trwanie redakcji porzuconych — nie pozwalają twierdzić na pewno, że szafirowe oczy Dianny, występujące w rękopisie po czarnych, są tymi, na których poeta zamierzał za-trzymać się ostatecznie. Wcale nie jest wykluczone, że obie redakcje na razie zachował, bo szukał rozwiązania trzeciego, takiego, w którym np. mógłby połączyć czarność z niebieskością. Bardzo proszę: nie myślcie, że ja tu drażę próżnię. Takie połączenia bywają i sam Słowacki dał je w odniesieniu do warkoczy Idalii, gdy nazwał je błękitno-kruczymi. Mogła opaść Słowackiego myśl, że czarne oczy mogą mieć niebieskie połyski, że mogą je mieć choćby w jakichś szczególnych warunkach np. kiedy są zażalawione i kiedy poprzez blask łez przebija „błękit duszy“. Połączenie w oczach Dianny czerni z niebieskością mogło pociągać Słowackiego jako zewnętrzny wyraz wewnętrznej złożoności jej postaci. Może miał podjąć odpowiednie obserwacje i w razie ich pomyslnego wyniku dać Diannie czarne oczy z niebieskimi lub szarymi połyskami w niektórych chwilach zażalawienia. I może takie jej oczy, miał znać tylko kochający ją Jan („oczęta sine we łzach“) — i onaj

sama, ona, którą wiązały potajemne śluby ze Sybirakiem, ona, która nie mogła nie czuć, że jej wiek dziewczęcy mija a ukochany mężczyzna nie wraca, ona, którą dalsze daremne czekanie musiało dotknąć w jej krasach, ona, która na pewno nieraz przed lustrem wpatrywała się w samą siebie i w swój los nieszczęsny.

X

Wielbiciele Słowackiego mają wysokie uznanie i serdeczną wdzięczność dla trudu, jaki w wyłuskanie tekstu „Fantazego“ włożyli Małecki, Kleiner i Czubek. Kolejno podejmowanymi pracami, pełnymi miłości i rozumu, wydobyli z opornego kruszcza złoto dramatopisarstwa. Słowa znakomitego utworu, jego zdania i związki zdań odczytali z wiernością niemal całkowitą.

Popełnia się jednak błąd, gdy tekst przez nich odczytany podaje się czytelnikowi bez odpowiednich zastrzeżeń. Każde, nawet najbardziej popularne wydanie „Fantazego“ powinno przy w s z y s t k i c h rażąco sprzecznościach i niezgodnościach zaznaczać w odsyłaczach, że zniknęłyby na pewno lub zapewne, gdyby utwór stał się przedmiotem dalszych prac autora. To, co w rękopisie jest ostatnie, nie zawsze było dla Słowackiego ostateczne, a czytelnik powinien to wiedzieć, aby nad niejedną stronką źle nie osądzić genialnego poety.

XI

Teatr nie ma odsyłaczy, teatr musi wszystko powiedzieć szczęściem swej sceny. Z faktu, że autor nie nadał „Fantazemu“ postaci ostatecznej, bierze teatr prawo do dokonania w nim niezbędnych uzgodnień, co w tym wypadku sprowadza się tylko do wyboru między zaprzeczającymi sobie miejscami.

Nie tylko barwę oczu Dianny powinien teatr wybrać, wybór jego powinien objąć wszystkie jawne niezgodności. Z takiego wyboru powinni odstąpić jednak refren pieśni zesałańczej, jednaki wykonawca rapu, tylko związane ze sobą organiczne rysy Majora, tylko jedna redakcja tematu pierścienka ślubnego, a nawet jedno tylko rozwiązanie trudności pieniężnych stojących na przeszkodzie małżeństwu Dianny z Janem. Co ma odpaść, o tym można dyskutować; moje propozycje — kiedy indziej.

Tadeusz Peiper

„Święty demokracja“ Wielkopolski

Hrabia Zygmunt Krasiński nie lubił demokracji. Dał temu wyraz w genialnej „Nieboskiej komedii“ i nieudolnych „Psalmodiach przyszłości“. Pochwała demokracji przychodziła mu z wielkim trudem, a jednak na wiadomość o zgonie znakomitego poznańskiego lekarza natychmiast napisał:

„Marcinkowski umarł — demokracją był z serca i rozumu — ale to był święty demokracja i najprawdziwiejszy człowiek i Polak bez skazy... Śmierć Marcinkowskiego nieodżałowaną klęską“.

Rzeczywiście Karol Marcinkowski był wzorem demokracji jako lekarz, żołnierz, obywatel, a przede wszystkim jako człowiek.

Urodzony w Poznaniu 23 czerwca 1800 r., na przedmieściu św. Wojciecha, był synem piwowara, matka, po śmierci męża, prowadziła szynk. W gimnazjum poznańskim wyróżnił się Karol zdolnościami i pilnością. Medycynę ukończył w Berlinie. Za przynależność do tajnego zrzeszenia studentów odsiedział tam 6-miesięczny areszt karny. W 1823 r. osiedlił się na stałe w Poznaniu.

I odtąd zaczynają się dzieła dziwy. Współcześni wspominają, że człowiek ten, wzrostu średniego, postawy wysmukłej, rysów twarzy wydatnych i szlachetnych, wielki wpływ wywierał na otoczenie. „Wyraz oblicza, dźwięk głosu — wspomina dr J. Zieliński — i rytm mowy szczególnie stanowiły połączenie imponującej pewności z ujmującą słodyczą... głębia duszy odbijała się przede wszystkim w wielkim i przenikliwym oku, z którego, mimo nieco surowego wejrzenia, patrzyła swoboda i dobroć...“.

Główną pobudką jego niezwykłej gorliwości w niesieniu pomocy ubogim i chorym było miłosierdzie, które kazało mu zapominać o swoim zdrowiu i spieszyć z pomocą wszędzie, bez różnicy narodowości i wyznania.

Ten dobry człowiek był równocześnie gorącym patriotą. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, przedziera się przez pruską granicę, leczy i walczy, jest nawet przez pewien czas szefem sztabu w korpuse gen. Chłapowskiego. Gdy korpus, po



Karol Marcinkowski

upadku powstania, przeszedł do Prus, znów zaczyna się rozgłos Marcinkowskiego jako lekarza ratującego ludzi przed cholera. Sam król pruski, na petycję obywateli Poznania, zarządził Polaków jak Niemców i Żydów, zmniejsza karę Marcinkowskiemu za udział w powstaniu, wyróżniając cnotę „najszlachetniejszej bezinteresowności“.

Marcinkowski, nieoceniony jako lekarz, staje się po upadku zbrojnej walki wodzem pracy od podstaw. Wygłasza i wprowadza w czyn zasadę: „Węgielnym kamieniem, na którym się dobry byt ziemski wszędzie i zawsze wspiera — jest praca“. Uczy więc rodaków pracować, dąży do podniesienia stanu mieszczańskiego, jest twórcą pierwszego w Poznaniu czynu zbiorowego — Bazaru, symbolu wywyższenia handlu do ważnego i chlubnego zawodu, bierze żywy udział w pracach rady miejskiej, powtarza bez znużenia: „Zaniechajmy liczyć na oręż, na zbrojne powstania, na pomoc obcych mocarstw i ludów, a natomiast liczymy na siebie samych, kształćmy się na wszystkich polach, pracujmy nie tylko w zawodach naukowych, ale także w handlu, przemyśle, rękodzielnictwie, stwórzmy stan średni, usiłujmy podnieść się moralnie i ekonomicznie, a wtedy z nami liczyć się będą“.

Założone przez Marcinkowskiego „Towarzystwo Pomocy Naukowej“ otoczyło czujną opieką młodzież i, zdaniem Niemców, stało się szkołą dowódców narodowych, organizatorów życia społecznego wszystkich obywateli. Szkoła gospodarcza w Turwi, prowadzona w ściślejszej łączności z gen. Chłapowskim, ćwiczyła młodych rolników we wzorowej gospodarce. Wreszcie „Towarzystwo ku wspieraniu ubogich i biednych“, z arcybiskupem, superintendentem i rabinem na czele, uczyło ludzi współzycia i miłosierdzia.

Marcinkowski w latach 1834—1846 był moralnym dyktatorem Księstwa Poznańskiego. Część pracy przejęła po nim Emilia Szczaniecka, w młodości uratowana przez znakomitego lekarza z groźnego letargu, która przeżyła jedyny porów uczyć miłosnych do swego wybawcy, a gdy ten, oddany wyłącznie służbie społecznej, jakby wzór przyszłego dr. Judyma, nekany gruźlicą, zmarł przedwcześnie, Emilia Szczaniecka pełniła jego rolę.

Wybitny lekarz warszawski, autor interesujących „Pamiętników“, Ignacy Baranowski, zwiedziwszy Wielkopolskę w połowie zeszłego stulecia, z uznaniem pisze o wielkim wyrobieniu społecznym i politycznym Wielkopolan, plonie pracy Marcinkowskiego. „Ludzie spotykani wydali mi się w stosunku łatwymi i dziwnie otwartymi. Wszystko wskazywało się zdawało pewną wyższą kulturę, o której świadczyły i całe urządzenie, cały obyczaj domowy, stosunek do służby pokojowej, folwarcznej. W każdym domu spotkać było można poważne książki. Budując i nauczając było dla mnie Kółko Rolnicze w Gnieźnie z udziałem chłopów, jak nie mniej i owa uczta w Pleszewie, przy której chłop orator dał wyraz uczuciom swoim polskim... Nawykłemu w Królestwie do innych wrażeń wysoka kultura umysłowa ziemian wielkopolskich wielce imponowała. Wspominałem, że liczniejsze zebrania męskie nabie-

rały zaraz powagi dyskusji, prowadzonej z pewnym ładem. Poznałem też przy okazji wyżej wspomnianej ową patriotyzm codzienny, ową czujność na każdym kroku, nad każdym faktem, choćby drobnym w życiu, o ile mógł fakt ten lub faktik stanąć w kolizji z interesem narodowym“.

Wielkopolska wydała wielu znakomitych Polaków. Wydaje mi się jednak, że Karol Marcinkowski należał do najbardziej zasłużonych i najwięcej godnych naśladowania.

Kiedy w 1923 roku, z inicjatywy ks. proboszcza Kościelskiego, urządzono w poznańskim kościele św. Wojciecha Groby Zasłużonych Wielkopolan, pomyślano przede wszystkim o uczczeniu zasług Marcinkowskiego. 7 czerwca przeniesiono uroczyste prochy Marcinkowskiego z cmentarza do Sali Odrodzenia w Ratuszu. W niedzielę 10 czerwca 1923 r. odbył się pochód do Grobu Zasłużonych Wielkopolan. Pamiętam dokładnie mowę Cyryla Ratajskiego, ówczesnego prezydenta miasta:

„Oddajemy dzisiaj cześć pamięci ziomka, — mówił Ratajski — który był wzorem cnot obywatelskich, a poglądami społecznymi wyprzedził współczesnych o całe pokolenia.

Jaracz i Szekspir

Uplynął rok od śmierci Stefana Jaracza. Nie widzimy jego nazwiska na afiszu teatralnym, a jednak, mówiąc o sztukach lub widząc je na scenie, powtarzamy: „Jakby to zagrał Jaracz!“ Pisano o nim wiele: człowiek, aktor, artysta — wspomnienia, rozmowy, znane, a zawsze chętnie powtarzane anegdoki. Wielkim zamierzeniem Jaracza było wystawić „na nowo“ Szekspira, tj. nadać mu takie kształty, znaleźć tak prostą formę, by jak niegdyś porwał swą bezpośredniością, tym brakiem dystansu między sceną a życiem. Jaracz czuł w Szekspirze siłę ludzkich namiętności i to go porwawało.

Pracę swą zakroił na szeroką miarę; ponieważ nie odpowiadały mu dawne teksty przekładów, starał się o nowe.

Język szekspirowski zwięzły, realistyczny, dosadny, czasem cudownie podniosły, lecz nigdy nie goniący za efektem, a tak pełen treści, że wydaje się rozsadzać formę, jest niesłychanie trudny do dobrego przekładu.

Jaracz chciał grać „Otella“. Przygotowywał się do tego jak zawsze gruntownie. Postarał się o nowy przekład. Miał go grać w jesieni 1939 r. Niestety przyszła wojna, aresztowanie, choroba. Widowano wtedy Jaracza z tekstem „Otella“ w ręku. Nie od rzeczy byłoby, gdyby teatr, kontynuując tę jego myśl, wystawił „Otella“, nadając mu kształt przez Jaracza obmyślony i w nowym przekładzie dokonany przez Zofię Siwicką. Oto opinia Jaracza:

„Już podczas pierwszego czytania tłumaczenia p. Zofii Siwickiej uderzyło mnie w tym nowym polskim „Otelu“ jakiegoś wzmoczenie dynamiki utworu. Zrozumiałem to w pełni: w słynnej scenie z chustką. Scena ta porwała mnie, bo była taka... nowoczesna. Nie mogłem się oprzeć porównaniu tej sceny z tłumaczeniem Paszkowskiego, w którym teatr grywał dotychczas „Otella“. I wtedy stało się jasne, czym między innymi góruje tłumaczenie p. Siwickiej. Oto przykład: Desdemona wykrecza się od przyniesienia nieszczęsnej chustki. Otello zdobywając potwierdzenie podejrzeń nalega coraz natarczywiej. Wreszcie przerywa trzykrotnie paplaninę Desdemony jednym słowem: „Chustka“. Pękające trzykrotnie to jedyne słowo narasta w grozę. Wiadomo, że potem nastąpią straszne czyny. Ta krótka scena, to cały wspaniały temat dla wyobraźni aktora.

I oto co znajduję u Paszkowskiego. — Zamiast trzykrotnego „chustka“ czytamy: „Idź po chustkę!“ Każdą początkującą adept sceniczną zdaje sobie sprawę, jaka to jest dla aktora różnica. Tu całe rozdrobnione zdanie, a u p. Siwickiej jedno słowo, wirujące jak grzmot. Ale jak jest u Szekspira? — pytam niecierpliwie p. Siwickiej. — Właśnie u Szekspira jest jedno słowo: „Chustka!“ — W ta-

Czymi męża, który postęp ludzkości widział w czynnym przejęciu się zasadą miłości bliźniego, na niej budując bratnią równość i godność społeczeństwa, męża, który pragnął uszlachetnić społeczeństwo polskie, napełniając je duchem ofiary i poświęcenia dla dobra ogółu, a który szczytne te zasady nie tylko głosił, ale wcielał w czyn twórczy i pożyteczny, oddziałując na współobywateli przede wszystkim przykładem osobistym.

Całe życie Marcinkowskiego jest wykładnikiem tej zasady, że nie dosyć jest kochać bliźniego, ale miłość tę należy okazać ofiarą na rzecz drugich“.

Mowę swą zakończył prezydent Ratajski ślubowaniem: „Składając dzisiaj hołd prochom Twoim, przyrzekamy Ci, wielki Obywatelu i Jakmuźniku, że my, obywatele poznańscy, zapatrzeni w Twój przykład, będziemy pracowali dla dobra ogółu, jako Tyś nakazał, będziemy szanowali pracę, jakąś Ty ją szanował; będziemy rozrzutni dla bliźnich, jakoś Ty był rozrzutnym...“.

Obecnie Poznań, a z nim cała Wielkopolska, podjęły prace przygotowawcze dla uczczenia setnej rocznicy zgonu Karola Marcinkowskiego. W tym hołdzie dla „świętego demokracji“ powinna wziąć również żywy udział cała Polska.

Stefan Papée

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA •CZYTELNIK•

JUŻ UKAZAŁY SIĘ NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH
NOWOŚCI NAUKOWE

JAN DEMBOWSKI

PSYCHOLOGIA ZWIERZĄT

Z 94 ILUSTRACJAMI W TEKŚCIE

STRON 365

CENA ZŁ 480

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ

HISTORIA FILOZOFII

TOM PIERWSZY

FILOZOFIA STAROŻYTNA I ŚREDNIOWIECZNA

WYDANIE TRZECIE PRZEJRZANE I UZUPEŁNIONE

Z 14 PORTRETAMI

STRON 415

CENA ZŁ 550

WIKTOR JAKUBOWSKI

SŁOWNIK

ROSYJSKO-POLSKI I POLSKO-ROSYJSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA: ROSYJSKO-POLSKA

Z ZARYSEM GRAMATYKI ROSYJSKIEJ

STRON 430

CENA ZŁ 250

NAGRODA LITERACKA



rys. J. Umińska

JERZY ANDRZEJEWSKI
otrzymał nagrodę literacką województwa
krakowskiego

PRZEGLĄD PRASY

Z początkiem br. zaczął wychodzić z druku „miesięcznik poświęcony sprawom słowiańskim” pn. „Życie Słowiańskie”. Wydawcą jest prezydium Komitetu Słowiańskiego w Polsce, redaktorem doc. Henryk Batowski; ostatnio pojawił się 4-5, podwójny zeszyt „Życia”, datowany kwiecień—maj 1946, co jest lekceważeniem kalendarza, niezbyt dobrze świadczącym o zapobiegliwości redakcji, ale co oczywiście nie może wpłynąć ani na sąd o treści dotychczas wydanych zeszytów, ani na ocenę znaczenia sprawy, której „Życie” chce służyć.

O tę sprawę chodzi przede wszystkim. Nasze tradycje słowiańskie są dawne, cytowane przez „Życie Słowiańskie” fragmenty z dawnych i nowszych pisarzy polskich na tematy słowiańskie świadczą dowodnie, że mimo niewątpliwych naszych grzechów w stosunku do idei słowiańskiej, nigdy nie zaniedbywaliśmy jej całkowicie i nigdy nie staliśmy się jej obcy. Mógł Józef Beck żądać od urzędników na Wierzbowej, by nawet nie wymawiali nigdy słowa „Słowianin” — bliższe poczucie narodowemu były filozofiańskie programy Staszica i romantyków, a nawet słowianofilów polskich z okresu pozytywizmu.

Program „Życia Słowiańskiego” jest związany: „Szerzenie w społeczeństwie polskim rzetelnej wiedzy o Słowiańszczyźnie i utwierdzenie przekonania o konieczności nie tylko zbliżenia, ale i współpracy między narodami słowiańskimi”. Jesteśmy daleko tak od osobistych animozji i osłupiającej krótkowzroczności Becka, jak od takich niedawnych jeszcze wybrzków, jak negowanie istnienia narodowości białoruskiej (St. Piasecki w „Droście do twórczości”, 1931) lub odpowiadanie radosnym przeczeniem na pytanie „Czy Polacy są Słowianami?” (K. Niezabykowski, 1933). Dziś „Życie Słowiańskie” interesuje się nie tylko białoruskim ale nawet macedońskim narodem i nawiązuje do programu sprzed 1914 r., który głosił, że przed Polską stoi dylemat „zesłowianiec lub zginąć”.

Problem słowiański ma charakter polityczny i kulturalny. O ile sprawa wymiany dóbr kulturalnych i wzajemnego kulturalnego zbliżenia nie była nigdy poważnie kwestionowana, ale rozbiła się często o niechęć i nienawiść polityczne (wystarczy choćby przypomnieć stosunki kulturalne polsko-rosyjskie i nawet polsko-czeskie) — o tyle warunkiem porozumienia politycznego musiał stać się dopiero fakt, który niespornie i od dawna uważano za kamień węgielny całej budowy nowoczesnego zbliżenia międzysłowiańskiego, ale o który dobijano się daremnie lat tysięcy: solidarność i wzajemność słowiańska. Dlatego inauguracyjny zeszyt „Życia Słowiańskiego” słusznie otworzył artykuł min. H. Świątkowskiego „U źródła niepodległości Polski”, widzący w decyzjach

Rosji rewolucyjnej wobec Polski gwarancję niepodległości Polski i demokratyzacji Europy. O to właśnie szło: problem stosunku Rosji do Polski był zawsze ośrodkiem spraw słowiańskich: od jego rozwiązania zależało wszystko. Feliks Koneczny pisał w 1910 r.: „Rosja pogodzona z Polską stałaby się potęgą, jakiej dawno nie widziały dzieje — podczas gdy dzisiejszy system wiedzy ją do sromotnego upadku”. Rozumieli to zarówno Polacy jak postępowi Rosjanie. By od teoretycznego zrozumienia przejść do realnego czynu, nie mógł jednak nie nastąpić w Rosji przewrót, który znaczeniem swoim miał wyrosnąć ponad problemy rosyjskie, polsko-rosyjskie czy ogólnosłowiańskie. O polityce carskiej wobec Polaków mówiono, że jest bardziej niemiecka niż polityka samych Niemców. Nawzajem stary Żeligowski wołał w Warszawie w 1938 r.: „Od wieków Polska nie docenia zagadnienia idei słowiańskiej, a to zatarcie wielkiej tradycji odbiło się tragicznie na losach narodu”. Dziś zarówno Rosjanie jak Polacy dokonali historycznej zmiany poglądów.

Czym jest sprawa słowiańska dla Polski? W ostatnim zeszycie „Życia” odpowiada na to Henryk Batowski: „Kwestia słowiańska sprowadza się do postulatu współpracy narodów i państw słowiańskich w imię dobrze pojętych wspólnych interesów... nie ma to być żaden blok regionalny z ostrzym zaczepnym, lecz tylko system pokojowej współpracy dla celów pokojowych, dla Słowiańszczyzny i dla wszystkich miłujących wolność narodów”. Są to tezy ustalone przez dzisiejsze rządy państw słowiańskich. Stalin oświadczył w listopadzie 1944 r.: „Sojusz narodów słowiańskich to nie carski imperialistyczny panslawizm, lecz sojusz równych sobie państw słowiańskich. Związek Radziecki stoi na straży takiego sojuszu”. Benesz mówił w grudniu 1945 r.: „Idea wzajemności słowiańskiej może być tylko myślą naprawdę demo-

kratyczną, w istocie swej naprawdę ludową oraz rewolucyjną pod względem politycznym i społecznym”. Dorzucimy do tych głosów pamiętne słowa Sikorskiego z grudnia 1939 r.: „Wszelkie postępy w odwiecznym pochodzie na Wschód Niemcy zawdzięczają przede wszystkim zręcznemu wyzyskiwaniu sporów, jakie toczyli między sobą krótkowzroczni Słowianie. Polska, świadoma swej przodującej misji w walce z parciem niemieczyzny na Wschód, wskazuje na potrzebę wysnucia wreszcie należytych wniosków z gorzkiej nauki dziejów”.

„Życie Słowiańskie” wychodzi w Krakowie. Słusznie. Tutaj bowiem żyje jeszcze tradycja świętego „Świata Słowiańskiego”, wydawanego do 1914 r. pod red. F. Konecznego jako jedno z przodujących czasopism słowiańskich. W okresie międzywojennym na wydawnictwo na poziomie „Świata” nie umiano czy nie chciano się zdobyć, bądź wychodził jednak w Krakowie aż do 1939 r. miesięcznik „Ruch Słowiański”, pożyteczne choć skromne wydawnictwo. I obecne „Życie Słowiańskie” ma skromne rozmiary, a zarazem niezdecydowany charakter, oscylujący pomiędzy popularnością a fachowością. Na popularyzację spraw słowiańskich — zwłaszcza w dzisiejszych politycznych warunkach — jest miejsce w czasopismach ogólnych, z natury rzeczy docierających do szerszego grona czytelników. A „Życie Słowiańskie” powinno nawiązać do „Świata Słowiańskiego”.

Prasa poświęca sprawom słowiańskim coraz więcej miejsca. Dobrą, przez fachowe pióra zasilaną kolumnę „Spraw słowiańskich” prowadzi stale „Dziennik Polski”. Od lat przedwojennych (wbrew ówczesnym nastrojom) dużo uwagi literatury słowiańskiej poświęca „Kamena”. Ostatnio dział „Kronika słowiańska” wprowadziła „Odra” (pisał S. Błogojewa, W. Bazieli, A. Brosz); byle wytrwałości starczyło.

Jaszc

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH

Ankieta „Odrodzenia”

Czesław Garda: Zaczęłam od spraw nieliterackich. — W czasie wojny, wspólnie z kolegą chemikiem, Stanisławem Markiewiczem, napisaliśmy książkę z dziedziny farb pod bardzo nieefektywnym tytułem: „Farby i środki wiążące, stosowane w malarstwie i zawodach pokrewnych”. Luźne fragmenty tej pracy, o charakterze fachowym i częściowo naukowo-popularyzacyjnym, drukowane były w „Przeglądzie Technicznym”.

Wtrącić pragnę, że przeglądając w „Odrodzeniu” odpowiedzi pisarzy na ankietę, wpadałam niekiedy w podziw, dowiadując się o mnogości prac napisanych przez niektórych autorów w czasie wojny. W porównaniu z warunkami, w jakich żyliśmy z kolegą, autorzy ci wprost błogo przeżywali wojnę. My — książkę naszą pisaliśmy w sposób bezprzykładnie niesystematyczny, tracąc z sobą kontakt na całe tygodnie, oddani osobistym tylko emocjom: kolega przez długi czas żył pod groźbą to wysiedlenia, to aresztowania na przemian, kompletnie bezsilny, z nogą w gipsie, unieruchomiony blisko półtora roku w łóżku. Jeśli chodzi o mnie, to byłam o tyle szczęśliwsza, że mogłam się poruszać i przemieszczać z miejsca na miejsce, przeżywając jednak te same niepokoje co kolega plus te wszystkie emocje, jakie dawała praca konspiracyjna.

Maszynopis książki sporządziliśmy dopiero po zakończeniu wojny i to stosunkowo niedawno, uzgodniwszy po zaciętych dyskusjach ostateczną redakcję tekstu. Rozglądamy się obecnie za wydawcą. Ministerstwo Oświaty (dokąd wysłaliśmy drukowane fragmenty, które przeszły przez Komisję Oceny Książek) zainteresowało się całością naszej pracy.

*) Por. odpowiedzi w nr. nr. 68—92 „Odrodzenia”.

RZUT OKA NA POEZJĘ POLSKĄ

(WPŁYWY I NURTY)

Daje się wyczuć w twórczości Grzybka
Wpływ duży Lurka a nawet Pipka.

Pipek swój wyraz zawdzięcza Gruździe,
choć przecie czasem mu Depka bruździ.

Bruździ mu Depka, bruździ Mamica,
który Chachajem zbyt się zachwyca.

A Chachaj z Jorka, Jorek z Promcejski,
Promcejsko z Brewki, zaś Brewka z Fiejki.

Fiejko ze szkoły wyszedł Jameczyka,
lecz uległ potem wpływowi Niemczyka.

Ten Niemczyk przedtem tkwił przez rok
w zasięgu Gacía oraz Ciubały.

I tu się zamknął filiacji kręgi:
Ciubała bowiem — poeta tęgi! —

przez wpływ na Lurka a także Pipka
odsłania całą genezę Grzybka.

JAN HUSZCZA

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
• CZYTELNIK •JUŻ UKAZAŁY SIĘ NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH
NOWOŚCIJAROSŁAW
IWASZKIEWICZNOWA
MIŁOŚĆ

I INNE OPOWIADANIA

STRON 239
ZŁ 250JERZY
PUTRAMENTŚWIĘTA
KULO

OPOWIADANIA

STRON 175
ZŁ 170

LEOPOLD STAFF

WIERSE
WYBRANE

/ Z PORTRETEM POETY /

STRON 183
ZŁ 200

WZNOWIENIA

JERZY
ANDRZEJEWSKI

NOC

OPOWIADANIA

STRON 220
ZŁ 200

WYD. DRUGIE / 25 TYSIĄC /

WOJEWÓDZKA
NAGRODA ARTYSTYCZNA
KRAKOWA
1946SEWERYNA
SZMAGLEWSKADYMY
NAD
BIRKENAUSTRON 302
ZŁ 200

WYD. TRZECIE / 35 TYSIĄC /

